Kurjer literacko naukowy

ROK IV. | WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK | NR. 50

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

Miesięcznik italo-polski

Niedawno wyszło piękne dzieło zbiorowe pt. *Polonia*, nadbitka z Encyklopedji Włoskiej, wydawanej przez Instituto Treccani w Rzymie. Obecnie mamy do zanotowania nowy objaw współpracy kulturalnej polsko - włoskiej. Ukazał się pierwszy zeszyt miesięcznika *Polonia - Italia*, wychodzącego w Warszawie pod redakcją Roberta Sustera. Członkami rady redakcyjnej są: F. Pietrabissa, Włodzimierz Czetwertyński, Franciszek Radziwiłł, R. Sambri, A. Stanghellini i Adam Romer.

Miesięcznik drukuje artykuły w dwu językach, polskim i włoskim. Szata graficzna bardzo wytworna; liczne ilustracje, dobrze wykonane, uprzystępniają Polakom poznanie Włoch, a Włochom dają wyobrażenie o Polsce. Podjęcie inicjatywy pisma polsko - włoskiego jest faktem kulturalnie i politycznie dodatnim. Przyczynia się ono do nawiązania nowych kontaktów i do odświeżenia starych tradycyj. Pod względem politycznym Polska i Włochy są krajami, które dzięki swym wybitnym siłom wewnętrznym i ważnej sytuacji geograficznej, walczą o mocarstwowe stanowisko wśród państw europejskich. Walka ta zbliża obydwa narody.

Przed czterema laty, będąc lektorem języka polskiego w Uniwersytecie rzymskim, próbowałem skłonić przyjaciół włoskich do wydawania pisma w obu naszych językach. Wówczas zapalił się do tego jedynie prof. Enrico Damiani, dyrektor bibljoteki parlamentu włoskiego i redaktor *Rivista italo - bulgara (Przegląd włosko - bułgarski)*. Omówiliśmy sprawę wydawnictwa z księgarnią nakładową Cremonesi — i na tem się skończyło. Dzisiaj Włochom zależy na propagandzie i wzmocnieniu łączności z Polską. Jest konjunktura, więc powstało pismo. Dobrą konjunkturę należy wyzyskać, a pismo poprzeć, gdyż przyczynia się ono do szerzenia wiedzy o Polsce zagranicą. Oczywiście dużo zależy od organizacji prenumeraty i kolportażu miesięcznika we Włoszech. Byłoby najgorzej, gdyby *Polonia-Italia* ugrzęzła wśród wydawnictw oficjalnych, któremi dysponują nasze ambasady i konsulaty.

Redakcja miesięcznika zapowiada, że stanie się on „zwierciadłem stosunków między naszemi dwoma krajami i bezinteresownym wyrazem uczuć naszych dwu narodów... Pragniemy jedynie i postanawiamy ułatwić i pogłębiać znajomość między Polakami a Włochami, przedstawiać przedsięwzięcia i zdawać sprawę z czynów spełnionych przez oba narody, oraz intensyfikować stosunki i współpracę między dwoma krajami.“

* * *

Pierwszy zeszyt *Polonia - Italia* podaje na wstępie przedruk manifestu Mussoliniego do Polaków, w którym szef rządu włoskiego powołuje się na wspólną przeszłość: „Zarówno Włosi, jak i Polacy widzieli niepodległość swego narodu, zniszczoną przez obcych i wiedli wiekową bohaterską walkę, aby odzyskać wolność i odbudować jedność narodową.“ Niewątpliwie, powstania polskie i *risorgimento* włoskie tworzą pokrewieństwo dziejowe i psychologiczne, którego sens realny dotąd nie wygasł. Ale nietylko przeszłość nas łączy. Polska i Włochy żywią podobne nadzieje na przyszłość, dążą do potęgi, którą inni — Anglicy, Francuzi, Niemcy, zdobyli już dawniej.

Roberto Suster charakteryzuje działalność polityczną Marszałka Piłsudskiego w artykule *Giuseppe Pilsudski Uomo di Stato*.

O zatargu włosko - abisyńskim informuje Kalikst Morawski, który przytacza mało znane wiadomości o wewnętrznej sytuacji panującej w Etjopji. Autor dowodzi, że nieustalenie granic między kolonjami włoskiemi a Etjopją (z winy samych Etjopijczyków), intrygi angielskie, a zwłaszcza ksenofobja postępowców abisyńskich, spowodowała wybuch wojny. Morawski twierdzi, że postępowcy, będący elitą, na której opiera się negus Haile Selassie I, są grupą niepopularną i nie posiadają autorytetu wśród ludów abisyńskich, przytem nie posiadają oni gruntownej znajomości kultury europejskiej. W nieufności do Europejczyków postępowcy abisyńscy godzą się z tradycjonalistami, toteż wszelkie próby pokojowej penetracji Włochów w głąb Etjopji spełzły na niczem. Rozbudowa wzajemnych stosunków handlowych oraz eksploatacja surowców pozostały w sferze projektów. Aby uzasadnić ekspansję włoską Morawski przytacza ciekawe wykresy, przedstawiające ofiary poniesione w wielkiej wojnie przez Włochy, Francję i Anglję oraz podział kolonij między państwa zwycięskie. Wykresy i zestawienia wykazują, że Francuzów poległo 1,282.300, Aglików 630.000, Włochów 672.000. A tymczasem podział kolonij był taki, że Anglja dostała najwięcej, tj. 68 proc., Francja 28 proc., zaś Włochy — 3 proc.

Zasady systemu korporacyjnego naszkicował Ferruccio Lantini, zaznaczając, iż strona prawna nowej struktury życia społeczno - gospodarczego Włoch jest zupełnie wykończona. Ustawy z r. 1927, 1933 i 1934 stały się podstawą całego szeregu umów zbiorowych między pracownikami a pracodawcami. Jeśli doświadczenie powiedzie się, to Korporacje wejdą w skład państwowych organów konstytucyjnych, czyli, że Parlament zostanie przeistoczony w Zgromadzenie korporacyjne.

Dość symptomatyczny jest artykuł p. Carlo Verdiani *„W pierwszą rocznicę inauguracji italskiego Instytutu Kultury w Warszawie“*. O działalności Instytutu autor miał widać niewiele do powiedzenia, gdyż poprzestał głównie na wspominaniu tradycyj kulturalnych polsko - włoskich. Wkońcu dowiadujemy się, że Instytut ma 350 członków, że na kursa języka włoskiego uczęszcza ponad 1200 słuchaczy, że na stanowisko dyrektora Instytutu przybywa z Toskanji znany pisarz, prof. Arturo Stanghellini, którego dzieła są wysoko cenione w środowiskach literackich włoskich. P. Stanghellini będzie wykładał historję literatury włoskiej, a w szczególności obejmie kurs wykładów o Dantem. W roku bieżącym Instytut urządzi szereg odczytów, wygłoszonych przez wybitnych prelegentów przybyłych z Włoch, pozatem koncerty i zebrania. Z ilustracyj widać, że Instytut ma ładnie urządzony lokal i posiada bibljotekę podręczną.

W języku włoskim napisany jest szkic Józefa Czechowicza o współczesnej literaturze polskiej: *„Panorama della letteratura contemporanea polacca“*. Autor, poza schematycznemi informacjami, dał krótką, lecz wyrazistą charakterystykę prądów i gatunków literackich. Paralelą do artykułu Czechowicza jest *„Rzut oka na młodą literaturę włoską“*, napisany przez Renato Poggioli'ego, który podkreśla rolę i talenty wielu młodych pisarzy, u nas mało znanych (Cardarelli, Baldini, Tozzi, Svevo, Panzini, Bontempelli, Saba, Montale, Ungaretti).

O możliwościach rozwoju eksportu polskiego do Italji pisze Gaetano Camusso, kładąc nacisk na eksport węgla i wyrobów polskich hut żelaznych. Franco Pietrabissa przedstawia Włochom perspektywy gospodarcze w Polsce: *„Possibilita economiche italiane in Polonia“*. Egisto de Andreis informuje o najmłodszej prowincji włoskiej, Littorji. Artykuł jest dobrze zilustrowany zdjęciami z miast: Littoria i Sabaudia.

Kronika gospodarcza i dział turystyczny, zachęcający Włochów i Polaków do wzajemnych podróży, uzupełnia zeszyt miesięcznika.

W rocznicę urodzin słynnego humorysty (Mark Twain)

Trzydziestego listopada b. r. minęło sto lat od urodzenia Samuela Clemensa, znanego w literaturze pod pseudonimem Marka Twaina.

Ujrzawszy światło dzienne w Stanie Missuri, w miasteczku, położonem nad brzegiem Missisipi, mały Samuel marzył przez całe dzieciństwo o karjerze sternika okrętowego. Zawód ten jednak wymagał długiej praktyki, a osierocony przez ojca chłopiec, musiał się jąć pracy zarobkowej. Jako drukarz pracował początkowo w Saint-Louis, potem w Nowym Jorku i Filadelfji. Gnany tęsknotą, powracał jednak często nad brzegi wielkiej rzeki.

Wypadek ,jaki się zdarzył w czasie podróży młodego Clemensa z Cincinnati do Nowego - Orleanu, zadecydował o jego przyszłym losie i przyczynił się do urzeczywistnienia najgorętszych życzeń młodzieńca. Stary, wysłużony parowiec „Paul - Jones“, zaczepiwszy o skały na środku rzeki Ohio, osiadł na mieliźnie i pozostał tam przez cztery dni. Wypadki takie były w połowie XIX wieku na porządku dziennym. Skazani na przymusową bezczynność — podróżni jakoteż załoga — zaprzyjaźnili się pomiędzy sobą, jak się to często zdarza w godzinach wspólnej niedoli. Samuel wyjednał u sternika rozbitego okrętu, niejakiego Horacego Bixby, że ten wyuczy go swojego fachu, wciągu dalszej podróży do Nowego - Orleanu. Młody Clemens zdradzał taki zapał do zawodu żeglarza i takie wzbudzał zaufanie, że Bixby zgodził się na jego warunki. Młody człowiek miał mu wypłacić za naukę sumę 500 dolarów, ale dopiero, gdy po uzyskaniu dyplomu, otrzyma posadę.

Szkoła była ciężka. Samuel musiał

kierować statkiem, prowadzić go wśród niebezpiecznych skał i wirów poprzez ciemności nocy i nieprzejrzane mgły, kiedy rzeka zdawała się być niezmierzonem, bezbrzeżnem morzem.

Z ręką na sterze wypatrywał przeszkód, okrętów, które trzeba było wymijać na kapryśnym kanale. Dawał baczenie na okrzyki marynarza, sondującego ustawicznie rzekę:

— Głębokość siedem... głębokość ośm... dobrze... „mark twain"...

Ucho sternika chwytało z zadowoleniem ten okrzyk „mark twain, stwierdzający prawidłowe lawirowanie po kanale. Samuel Clemens nie przypuszczał wtedy, że słowa te staną się kiedyś w przyszłości jego pisarskim pseudonimem.

Od tego czasu Samuel nie przestawał żeglować po wielkiej rzece, uczył się poznawać jej tajemnice, jej niebezpieczne mielizny i zdradzieckie wiry. Na wiosnę i w jesieni, w okresie przybierania wód, żegluga na Missisipi stawała się niezwykle ożywiona. Spotykało się ustawicznie tratwy, naładowane owocami, melonami i dyniami, oraz galary, przewożące węgiel. Flisacy lekceważyli sobie przepisy, nakazujące zapalanie na pokładzie tratw latarń okrętowych. W pogardzie mieli tych, którzy tej „formalności" czynili zadość. Toteż nieraz przed dziobem okrętu wyrastała nagle jakaś ciemna, ogromna masa, podczas gdy na głowę sternika sypały się soczyste wyzwiska i wymyślania. Takito już był marynarski obyczaj.

Samuel Clemens wiedział, czego wymagała od sternika kurtuazja, obowiązująca na rzece. Nie wypuszczając z ręki drążka od steru, zwrócony twarzą do niefortunnych żeglarzy, zasypywał ich stekiem obelg, przy akompanjamencie krzyków i śmiechów reszty załogi.

Sprawa nie kończyła się na tem. Przybywszy do Nowego - Orleanu, flisacy wnosili do sądu skargę przeciw sternikowi okrętu. Jednogłośnie przysięgali, że latarnia ich była zapalona. Zapominali jednak dodać, że latarnię ową zanieśli do kabiny, aby móc przy jej świetle grać w karty.

W pamiętnikach Marka Twaina znajdujemy między innemi opowiadanie o rozrzutnym sterniku, który — jakkolwiek zręczny i uczciwy — stale chodził bez grosza. Sternik ten, imieniem Stephen, przechadzał się pewnego dnia po Nowym - Orleanie, w oczekiwaniu na uśmiech fortuny. Pewien kapitan okrętu, domyślając się, że Stephen znajduje się w przykrej sytuacji, zaangażował go na swój statek, który miał odbyć podróż w górę rzeki.

Wynagrodzenie sternika wynosiło podówczas 250 dolarów, ale kapitan, pragnąc zarobić na biedzie Stephena, zaofiarował mu tylko 125 dolarów. Nie mając wyboru, Stephen przyjął propozycję, pod warunkiem jednak, że kapitan nie powie nikomu, na jakich warunkach go przyjął, gdyż sternikowi mogłoby to zaszkodzić w przyszłości.

[illegible]czasem, już w pierwszym dniu podróży, sternik przekonał się, że jego pracodawca nie dotrzymał słowa. Napozór nie wyciągał z tego faktu żadnych konsekwencyj.

Okręt posuwał się niezmiernie powoli. Pewnego dnia kapitan wyszedł na pokład i zagadnął Stephena:

— Mamy tu silny prąd, nieprawdaż?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Czy nie posuwalibyśmy się prędzej, trzymając się bliżej brzegu, gdzie prąd jest mniej gwałtowny?

— Hm... może. Ale bezpieczniej trzymać się środka. W ten sposób niema obawy, by zaczepić o dno.

Kapitan poszedł do swojej kajuty, ale niezadługo powrócił. Statek sunął wciąż środkiem rzeki, pokonywując z trudem gwałtowny spadek wody. Stephen miał minę bardziej zadowoloną niż zwykle i pogwizdywał zcicha.

— Słuchajcieno! — zawołał zirytowany pracodawca. — Czy nie możecie zjechać trochę ku brzegowi? Czy się obawiacie, że woda za płytka?

— Może i nie za płytka, panie kapitanie. Ale nigdy nie można wiedzieć.

— Ależ patrzcie na ten statek na lewo. Widzicie, że płynie blisko brzegu.

— Och! — odpowiada Stephen z uśmiechem. — Musi posiadać sternika za 250 dolarów. Ja umiem tylko za 125 dolarów.

Kapitan dał za wygraną.

Wśród takichto ludzi pozostawał Samuel Clemens przez cztery lata od nich [illegible]jął ten rodzaj dowcipu, który rozsławił po całym świecie. Notował zdarzenia w swoim dzienniku, od czasu do czasu posyłał artykuły do lokalnych dzienników.

Czuł się w swoim zawodzie tak szczęśliwy, że postanowił sprowadzić na okręt swojego młodszego brata, Henryka, by się również zaprawiał w żeglarstwie. Ale Henryk był leniwy i poprzestał na karjerze chłopca okrętowego. Po jakimś czasie Samuel został zaangażowany na statek „A-T Lacey", podczas gdy jego brat pozostał na „Pensylwanji", która wyruszyła o dwa dni [illegible]śniej.

Gdy „Lacey" mijał miasteczko Greenville, z brzegu zawołał ktoś:

— „Pensylwanja" wyleciała w powietrze tuż pod Memphis. Sto pięćdziesiąt ofiar.

Można sobie wyobrazić niepokój Samuela. Jaki los spotkał młodziutkiego Henryka? Na następnym postoju wiadomość potwierdziła się, zaś w Memphis podano załodze „Laceya" wszystkie szczegóły katastrofy.

W upalny letni poranek, kapitan „Pensylwanji" siedział z namydloną brodą na pokładzie, a okrętowy golibroda ostrzył brzytwę. Nagle dał się słyszeć ogłuszający huk — to eksplodowały cztery kotły. Cały przód statku wyleciał w powietrze, zasypując resztę kurzem i odłamkami drzewa i żelaza. Wielu ludzi uległo zupełnemu rozszarpaniu, inni — poparzeni i okaleczeni — wydawali rozdzierające okrzyki bólu i trwogi. Kapitan w swoim fotelu znalazł się na samym brzegu rozszarpanego okrętu, podczas gdy golibroda nie przestawał machinalnie ostrzyć brzytwy.

Tymczasem pożar obejmował — ocalały z eksplozji — kadłub statku. Nie było chwili do stracenia. Żywi wskakiwali w śmiertelnej panice do łodzi ratunkowych, pozostawiając swojemu losowi okręt, z palącemi się zwłokami nieszczęśliwych. Ocaleni wylądowali na małej wysepce, gdzie pozostawali przez dwanaście godzin pod palącemi p[illegible]niami słońca, dopóki przybyły okręt nie udzielił im pomocy.

Samuel zastał swojego brata w stanie prawie beznadziejnym. Dzięki staraniom lek[illegible]rza i opiece Samuela, odzyskał po kilku dniach przytomność. Lekarz, przybyły z Memphis, przewidywał jednak ciężką noc i zalecił na wypadek bólu, lub gdyby Henryk nie mógł spać ze względu na jęki innych chorych, dać mu ośm centigramów morfiny. Gdy lekarz ów odjechał, a Henryk rzeczywiście zaczął bardzo cierpieć, Samuel zwrócił się do lekarza dyżurnego z prośbą o [illegible]ę. Ale morfina była wówczas środkiem całkiem nowym i internista bał się ją aplikować.

— Niech pan zrozumie — bronił się — że nie mam sposobu odważenia ośmiu centigramów morfiny.

Tymczasem chory wił się z bólu i wzywał pomocy. Samuel [illegible]dał się znowu do internisty i błagał go o przyniesienie ulgi cierpiącemu. Lekarz dał się ubłagać i zaaplikował choremu morfinę sposobem wielce prymitywnym, wpuszczając ją w ciało na ostrzu noża Henryk zasnął głęboko, by się już nazajutrz nie obudzić.

Ta tragiczna śmierć brata, do której sam mimowoli się przyczynił, stała się dla Samuela nieustannym wyrzutem do końca życia.

W pamiętniku Marka Twaina, między zapiskami pochodzącemi z ostatnich lat jego życia, czytamy następującą notatkę:

„Zostałem uznany za największego humorystę XIX wieku. Być może, że nim jestem. Między tymi jednak, którzy tyle hałasu narobili dokoła mojego nazwiska, tylko nieliczni zdają sobie sprawę, że za tem wszystkiem kryje się strona poważna, która stanowi część istotną i wartościową."

Na ostatniej stronie tego pamiętnika czytamy — skreślone drżącą ręką — następujące słowa:

„Za chwilę stanę przed majestatem śmierci, jedynym prawdziwym majestatem na tym padole. Wszystkie inne są mamidłami, służącemi do zastawiania sieci na naiwnych". *M. G.*

Książka w Bułgarji

O produkcji książek w Bułgarji przynosi interesujące dane mała broszura T. Borowa „Balgarskaja kniga", wydana niedawno w Sofji.

Właściwy początek książki w Bułgarji datuje się dopiero od 1805 roku. — wydaniem „Postylli" biskupa Sofrona Wratcanskiego. Od tego czasu pojawia się co roku parę książek. Z chwilą założenia w Konstantynopolu bułgarskiej drukarni (w r. 1843) produkcja książek wzrasta bardzo szybko, dochodząc do kilkuset rocznie.

Książki bułgarskie drukuje się przeważnie zagranicą: w Wiedniu, Budapeszcie, Belgradzie, Pradze Petersburgu, Kijowie, nawet w Londynie i w Lipsku. Są to przeważnie tłumaczenia lub kompilacje z obcych autorów (głównie z serbskiego i greckiego, po wojnie Krymskiej zaś z rosyjskiego).

Znacznie później dopiero pojawiają się oryginalne dzieła pisarzy bułgarskich, — przedewszystkiem podręczniki szkolne i śpiewniki kościelne.

Z chwilą oswobodzenia Bułgarji ruch wydawniczy wzrasta szybko: corocznie pojawia się pareset nowych książek. Czasy wojen bałkańskich i wojny światowej wpłynęły naturalnie hamująco na produkcję, która jednak w ostatnich czasach wzmogła się ponownie, dochodząc do 2.000 dzieł rocznie.

Obok dzieł oryginalnych wydaje się dużo przekładów z beletrystyki, przedewszystkiem pisarzy niemieckich i francuskich.

Wśród dzieł oryginalnych pierwsze miejsce zajmuje socjologja (27 proc.) następnie idą podręczniki naukowe (18 proc.), a na trzeciem dopiero miejscu beletrystyka (13 proc.).

Nakłady są małe, — przeciętnie od tysiąca do trzech tysięcy egzemplarzy. Jedynie podręczniki szkolne drukuje się w większym nakładzie.

Jedyną książą, która osiągnęła rekordową cyfrę nakładu: ponad sto tysięcy egzemplarzy, — są kalendarze ludowe.

Książki w Bułgarji są stosunkowo bardzo tanie, — ale drukowane na lichym papierze i z reguły broszurowane. Przeciętna książka nie liczy więcej jak 5—6 arkuszy druku. Jedynie dzieła fachowe, z zakresu historji, przyrody, filologji i prawa mają większą objętość, — ale też kosztują znacznie drożej.

Na polu honorarjów autorskich i autoryzacji przekładów stosunki dotychczas jeszcze nie są w Bułgarji należycie uregulowane. **(n.)**

Z wydawnictw

W walce o szczyty Andów — Dr. K. Jodko - Narkiewicz, (Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa). Ostatnio wyszła książka kierownika wyprawy andyjskiej Dr. Konstantego Jodko - Narkiewicza, zawierająca barwny opis przeżyć, oraz w zakończeniu resumé zdobyczy naukowych, ozdobiona wspaniałemi ilustracjami pt. *„W walce o szczyty Andów".*

Książka Dr. K. Jodko - Narkiewicza jest wspaniałym reportażem pamiętnikarskim dorastającym w zupełności narracją i walorami literackiemi do wielkości dokonanego wyczynu. Czyta się ją jak najbardziej fascynującą i pełną napięcia powieść i ogląda z prawdziwem zadowoleniem estetycznem, wspaniałe fotografje w opracowaniu atelier Girs - Barcz.

„W walce o szczyty Andów" jest dziwnie piękną książką, pełną uroku i świeżości prawdziwego czynu. Może to właśnie tak uderza i pociąga nas oblracających się w kieracie codziennych obowiązków i codziennej pracy. Może to właśnie tęsknota za szlachetną walką za wielkim czynem i wielkiem zwycięstwem, a jednocześnie duma, że zwycięstwo to Polsce przypadło w udziale — może to właśnie sprawie, że czytając tę wspaniałą książkę, pozostaje się w atmosferze ożywiającego entuzjazmu i zapału.

Dodać do tego należy jeszcze dwa ciekawe szczegóły. Pierwszy, że wyprawa sfinansowana została wyłącznie pieniędzmi Polaków, tych z Polski i tych z Argentyny. Drugi — że ekwipunek wyprawy obliczony, zważony i udoskonalony przez polskich alpinistów, aż do najdrobniejszych szczegółów — wykonany został całkowicie w kr[illegible]ju.

Wyprawa w Andy to całkowicie i wyłączne zwycięstwo polskiej nauki i polskiego sportu.

Reymont w życiu i w anegdocie

Życiorys autora „Chłopów" wykazuje dotychczas pewne luki i nieścisłości, — zwłaszcza o ile idzie o jego dzieciństwo.

Przyczynił się do tego poniekąd i sam Reymont, który jak podaje Lorentowicz[1]), lubił tworzyć o sobie malownicze legendy, w które wkońcu sam wierzył.

BALCEREK — CZY POTOMEK WIKINGÓW

Jedną z takich legend jest geneza samego nazwiska: Reymont utrzymywał, że ród jego wywodzi się ze skandynawskich Wikingów, którzy osiedli najpierw nad Bałtykiem, aż wreszcie zawędrowali do ziemi piotrkowskiej.

Rzeczywistość wygląda jednak znacznie prozaiczniej. Zarówno Lorentowicz, jak i J. Pietrzycki stwierdzają zgodnie, że rodowe nazwisko autora „Chłopów" brzmiało *Balcerek* lub *Bańcerek*. Gdy zaś we wsi Kobiele Wielkie, miejscu rodzinnem Reymonta, było dużo ludzi tegoż samego nazwiska, — zatem dla odróżnienia każdej rodzinie (obyczajem na wsi przyjętym) dawano jakiś przydomek. Taksamo rzecz się miała z dziadkiem Reymonta, pełniącym w tej wsi obowiązki ekonoma, a przezywanym popularnie „panem Reymentem", rzekomo od używanego przez tegoż w podnieceniu często powiedzenia: „ażeby cię rejment djabłów!"...

Ojciec pisarza organista kościelny w tejże samej wsi, używał już stale imioniska *„Rejment"* i tak też podpisał się na akcie chrztu, spisanym dnia 2 (14) maja 1867 roku, podpisanym przez ks. Szymona Kupczyńskiego, administratora parafji Kobiele Wielkie.

Dalszej poprawki nazwiska z Rejmenta na Reymonta dokonał już sam autor „Chłopów".

Przypuszczalnie impuls do tego dała mu drobna pomyłka, jaka zaszła przy wystawianiu świadectwa szkolnego, stwierdzającego, że Stan. Rejment uczęszczał przez cztery lata w Warszawie do Szkoły Niedzielno - Rzemieślniczej. W świadectwie tem, noszącem datę 8 grudnia 1883, wpisano nazwisko ucznia w języku rosyjskim: Rejmont.

CZELADNIK KRAWIECKI I FRAK.

Świadectwo to łączy się z drugim, mało znanym epizodem z życia wielkiego pisarza. Oto jak tego dowodzą akta Warszawskiego Cechu Krawców, Rejmont, po czteroletniej praktyce terminatorskiej, oddany został przez ojca na dokończenie nauki do Cechu krawieckiego, — na czas od 2 maja do końca 1883 roku.

Po dziewięciu miesiącach praktyki nastąpiły 2 stycznia 1884 roku wyzwoliny siedemnastoletniego wówczas Reimenta na czeladnika, — a odnośny akt wpisany został do księgi cechowej pod nr. 1032 — przyczem w odnośnej rubryce z zapytaniem: „jaką na dowód uzdolnienia zrobił sztukę?", wyzwalający go majster, K. Jakimowicz, dopisał własnoręcznie: *„Okazał frak, bardzo dobrze uszyty"*.

Nowy czeladnik otrzymał swą książeczkę — i zdaje się nosił się przez pewien czas z myślą wykorzystywania w praktyce swych zdolności krawieckich. Ale już we dwa lata później rozpoczyna swój burzliwy żywot, okres tułaczki po trupach prowincjonalnych, przymierania głodem, uciekania z domu i żałosnych powrotów, kiedy obmierzła już do cna „Marzycielowi" bez myślna, nędznie honorowana praca na kolei.

Nabyty jednak kunszt krawiectwa przydał mu się później w życiu, — jak bowiem opowiada Lorentowicz, Reymont znakomicie przerabiał i reperował swoje własne ubrania.

PIERWSZE KROKI PISARSKIE

Pierwsze swe nowele *„Suka"* i *„Adeptka"* przesłał Reymont do redakcji „Kurjera Warszawskiego". Nie mogąc doczekać się ich wydrukowania, zwrócił się listownie do jednego z ówczesnych redaktorów, Wł. Korytyńskiego, z prośbą o wiadomość, jaki los spotkał te jego prace. W liście tym, z daty Rogów, 12 maja 1893, prosi *o ów, z trwogą wyczekiwany, a pomimo to tak upragniony wyrok, co do wartości literackiej tych nowelek*, dodając w zakończeniu:

Czyż potrzebuję zapewniać, z jakiem upragnieniem będę oczekiwał tego wyroku i jak wielkie znaczenie mieć będzie dla mnie treść jego!

Nowele te pojawiły się jednak znacznie później, mianowicie *„Suka"* w wydawanej przez Świętochowskiego „Prawdzie", a *„Adeptka"* dopiero w roku 1928.

Wkrótce jednak przyszło powodzenie, przynajmniej moralne. *„Pielgrzymka do Jasnej Góry"*, *„Fermenty"*, i *„Komedjantka"*, oraz drukowane w pismach nowele zwróciły uwagę krytyków na mocny, oryginalny talent młodego pisarza.

MARKIZ SAINT - REYMONT

Gnany nieposkromioną żądzą „Marzyciel" jedzie w roku 1896 do Paryża na dłuższy pobyt. Mieszka tam przez parę lat razem z J. Lorentowiczem, przebywając w towarzystwie licznej podówczas nad Sekwaną kolonji polskiej pisarzy, artystów i malarzy. Języka francuskiego nie znał zupełnie i nigdy się go nie nauczył. Niechętnie też chodzi z tego powodu do teatrów, okazując natomiast większe zainteresowanie do cyrków i music - hallów.

Jak opowiada Lorentowicz, uchodził Reymont w oczach „konsierżki" za przebranego... markiza. Skrót jego imienia: *„St."* czytała ona jako „Saint" — zrobił się z tego zatem jakiś tajemniczy *„Saint - Reymont"* co musiało zaimponować prostej dozorczyni, rozczytującej się z lubością w romansach francuskich, w których roiło się od markizów i hrabiów.

NIEZWYKŁE SWATY.

Na wiosnę 1897 roku wyjechał Reymont do Ouarville, w prowincji Beauce. Mieszkał tam znany i ceniony lekarz polski dr. H. Gierszyński, którego dom stał zawsze otworem dla emigrantów i przelotnych przybyszów z Polski. Toteż zjeżdżali się tam chętnie nietylko działacze polityczni, ale i młodzi literaci i artyści, zawsze przyjmowani z otwartemi rękami i serdecznie goszczeni.

Reymont bywał tam częstym gościem. Tam też zaczął pisać swój dramat *„Kłamstwa"*. Miał to być dramat psychologiczny, miał być *„krzykiem na urządzenia społeczne, na obłudę panującą we wszystkich dziedzinach życia i w duszach ludzkich"*.

Dramat ten nie ujrzał jednak nigdy światła rampy, a manuskrypt jego gdzieś się zawieruszył u redaktora *„Kurjera Codziennego"*, A. Mieszkowskiego, któremu Reymont go przesłał.

Spotkała jednak Reymonta w Ouarville zabawna przygoda. Oto pewnego dnia zjawił się u dra Gierszyńskiego notarjusz tamtejszy, donosząc mu, że ma dla Reymonta doskonałą partję. Zakochała się w nim mianowicie córka bogatego fermera, mająca 600 tysięcy franków posagu. Ujrzała go w kościele podczas nabożeństwa — i z miejsce zakochała się w znakomitym pisarzu.

Wiadomość ta wywołała zrozumiałą sensację. Przebywający w domu pp. Gierszyńskich Polacy, zaintrygowani temi swatami, postanowili przedewszystkiem obejrzeć na własne oczy ową bogatą pannę, rozmiłowaną w Reymoncie.

Pokazało się, że była to niewiasta leciwa, o dobre dwadzieścia lat starsza od swego wybrańca, nosiła się po chłopsku, a przy tem wszystkiem była potwornie brzydka. Można sobie wyobrazić, jak po stwierdzeniu tych faktów brać literacka używała sobie na biednym Reymoncie!

MAJĄTEK I NAGRODA NOBLA

W roku 1900 padł Reymont ofiarą wielkiej katastrofy kolejowej pod Włochami, przyczem doznał obrażeń na głowie i silnego wstrząsu nerwowego.

Pociągnęło to za sobą dłuższą kurację w szpitalu oraz proces z Zarządem kolei, — w wyniku którego otrzymał Reymont odszkodowanie w wysokości 40 tysięcy rubli.

Ta suma postawiła go dopiero naprawdę na nogi; mimo bowiem sławy, jaką przyniosły mu już jego dzieła, sytuacja finansowa pisarza nie przedstawiała się dotychczas w zbyt różowem świetle, a honorarja autorskie zaledwie wystarczały na skromne utrzymanie.

Prawdziwy majątek przyniosło mu dopiero przyznanie w roku 1924 nagrody Nobla.

Na temat tej nagrody i walki Żeromski — Reymont, pisze obszernie Lorentowicz we wspomnianej już książce *„Spojrzenie wstecz"*. Według Lorentowicza już od roku 1920 rozpoczęto w Sztokholmie intensywną akcję celem przygotowania kandydatury polskiej do tej nagrody.

Jedynym kandydatem, branym poważnie w rachubę, był Żeromski, którego przekłady („Wszystko i nic", „Wierna rzeka", „Uroda życia") zyskiwały sobie w Szwecji coraz większe uznanie.

Nagle nastąpiła zupełna zmiana nastrojów. Wybitny krytyk, prof. Böök, zaatakował gwałtownie Żeromskiego za jego „Wiatr od morza", dopatrując się w tej książce wrogiego stanowiska wobec Niemców. A prof. Böök mógł skutecznie urabiać opinję publiczną w duchu nieprzychylnym dla Żeromskiego, mając do dyspozycji najpoważniejsze pismo szwedzkie *„Svenska Dagbladet"*...

LUDOWIEC, CZY ENDEK?...

Z wiosną 1924 roku odwołało M. S. Z. dotychczasowego posła w Sztokholmie p. Michałowskiego i sekretarza poselstwa, p. Czarnockiego, który — zresztą za zgodą posła — rozwijał bardzi energiczną a skuteczną propagandę na rzecz Żeromskiego.

Z chwilą objęcia placówki dyplomatycznej w Sztokholmie przez nowego posła, p. Wysockiego, sprawa kandydatury Żeromskiego została pogrzebana.

Jak twierdzi bowiem Lorentowicz *rządy Witosa i Wł. Grabskiego uważały Żeromskiego za przedstawiciela opozycji, Reymonta zaś za swego. Witos wciągnął nawet Reymonta do „Piasta" i urządził dla niego wierzynkową ucztę w Wierzchosławicach; Grabski zaliczył go do endecji...*

I w rezultacie dnia 13. listopada 1924 roku PAT rozesłała całej prasie depeszę, donoszącą, że nagrodę Nobla w dziale literatury na rok 1924 uzyskał Wł. Reymont za „Chłopów".

ZNACZENIE „CHŁOPÓW"

Z okazji dziewięciolecia zgonu wielkiego pisarza pojawił się w prasie codziennej i fachowej cały szereg artykułów i szkiców, omawiających twórczość Reymonta.

Słusznie zwraca się w nich uwagę na ogromną skalę zainteresowań artystycznych i twórczych pisarza, w których utworach odzwierciadlają się tak silnie osobiste przeżycia, jak może u żadnego innego z polskich pisarzy.

Niepodobna natomiast zgodzić się z wysuniętą przez jednego z krytyków, dr. K. Torczyńskiego, tezą, jakoby twórczość Reymonta przedstawiała *chaos niepowiązanych wewnętrznie dzieł, jedność swą zawdzięczając tylko nazwisku autora...*, a *„Chłopi" przedstawiają się jako coś wyjątkowego, nie mającego związku z istotnym nurtem wewnętrznym jego twórczości.*

Ten człowiek, co w dzieciństwie i młodości nacierpiał się biedy, co próbował i rzemiosła i „komedjanctwa" co dusił się z tęsknoty za światem, uwięziony na małej stacyjce, ten autodydakta, co wzbił się na szczyty sławy, — wyładowywał w swych utworach kolejno wszystkie swe przeżycia, tęsknoty, smutki i zawody.

Oddawna jednak kiełkowała w nim myśl stworzenia wielkiej chłopskiej epopei, — do czego przygotowywał się sumiennie swemi poprzedniemi utworami, jak *„Sprawiedliwie"*, *„Śmierć"*, *„Orka"*.

Zachęcony ogromnem powodzeniem swych utworów, pisał dużo, szybko, nie zawsze opracowując dość starannie swe dzieła, — ale w duszy jego odbywała się powolna krystalizacja najważniejszych pierwiastków. On sam uważał „Cłopów" nietylko za szczyt swej twórczości, — ale i za początek nowej, ogromnej, najważniejszej pracy. Oto, co pisze w tej mierze we swej autobiografji[2]):

Wszystko, com napisał do „Chłopów", jest moim wstępem literackim. Są to rzeczy widziane, — teraz przyjdzie czas na czute, a póniej na myślane. Jest to pierwsza faza, którą sam zamykam...

„Chłopami" rozpoczynam serję prac nowych. Chcę szukać duszy polskiej w jej istotnych, najgłębszych cechach....

...Od ziemi zaczynam, aby później w kilkunastu powieściach, których mam plan gotowy, przejść cały obszar życia naszego. To jest praca na lat dwadzieścia, myślę jednak, że jej dokonam.

Niestety, — nie danem mu było zrealizować te plany. Pozostały „Chłopi" najwspanialsza epopeja polskiej, — jedyna wiecznie trwała spuścizna po wielkim pisarzu, — którego wszystkie inne dzieła należą dziś już właściwie tylko do historji literatury. *(kr.)*

[1]) *Jan Lorentowicz: „Spojrzenie wstecz", Warszawa 1935.*

[2]) *„Kurjer Warszawski" z dnia 1 stycznia 1926.*

Don José Zorrilla

— 42 lat mija w grudniu, kiedy Hiszpanja ze smutkiem odprowadzała prochy największego poety i dramaturga narodowego, na wieczny spoczynek.

Poeta, Józef Zorrila zmarł w miejscu swego urodzenia, w Valladolidzie ojczyźnie Cervantesa. Na literaturę hiszpańską zmarły wywarł wielki wpływ. Czytano go z zapałem w całej Hiszpanji i we wszystkich romańskich republikach Ameryki.

Poematy epiczne, zwłaszcza „romance“ pisane w staro-hiszpańskim tonie wywołały wiele naśladowań, a tak zwany „zorrillizm“ dziś jeszcze jest w Hiszpanji bardzo rozpowszechniony.

D. J. Zorrilla ur. w 1817 r., ukończył kolegjum Jezuitów, następnie ojciec wysłał go na studjum praw do Toledo. Życie poety od zarania jego twórczości było twarde. Najbliższe otoczenie — to ojciec i wuj wychowawca, stwarzali mu atmosferę surową, nie dopuszczając do rozwinięcia się poetyckich zdolności młodzieńca. Bardziej jednak niż suche wykłady i perory ojcowskie, przemawiały do duszy poety niebotyczne góry, malownicze ruiny i szumiące lasy, okolicy Toledo, czy też hasła pieśni dolatujące z Francji Lamartine'a i W. Hugo. Nie dał opaść bezwładnie skrzydłom swego geniusza — rozwinął je do pełnego lotu. Wbrew nakazowi ojca, by powrócił do domu i zaniechał poezji, uciekł młody entuzjasta do Madrytu, przeżywając tam ciężkie czasy.

Dnia 15-go lutego 1837 roku w ponure zimowe południe ciągnął przez ulice Madrytu żałobny pochód. Za karawanem postępowało grono młodych ludzi, odprowadzając na wieczny spoczynek jednego z najgłębszych myślicieli Hiszpanji, młodego poetę Marjana Larrę. Bolesną była dla kraju strata jednostki tak utalentowanej. Gdy na cmentarzu rozległy się dzwony pogrzebowe, młodym przyjaciołom M. Larry, żalem skurczyły się serca — rozpoczęto mowy — a kiedy o trumnę uderzyły głuchym łoskotem pierwsze grudy ziemi, z tłumu wyszedł blady młodzieniec i harmonijnym głosem począł recytować wiersz: „A la Memoria desgraciada del joven literato D. Mariano Jose de Larra (Pamięci nieszczęsnej młodego pisarza M. J. Larry). W wiersz swój włożył całą głębią duszy i przeogromny żal, intonacja jego była pełna natchnienia. Nagle głos załamał mu się, wyczerpany uniesieniem padł zemdlony. Jeden z stojących obok wziął kartkę z jego rąk i dokończył recytowania. Onym zemdlonym młodzieńcem był właśnie Zorrilla. Imię jego dotychczas nieznane, w jednym dniu stało się sławnem. Po kilku tygodniach Zorrilla ogłosił pierwszy zbiór swoich poezyj. Odtąd z pod pióra jego płynęły wiersze liryczne, poematy i utwory dramatyczne.

Pierwsze lata poetyckiej twórczości Zorrilli wypełnia liryka. W poezję swą wkładał cały skarbiec myśli, marzeń i tęczowych snów. Wiersze jego coraz doskonalsze, cechuje dziwnie miła śpiewność języka hiszpańskiego, rytm płynie lekko, łagodnie, zaś na dnie ich tkwią myśli głębokie, przepojone pesymizmem, które jak strumień jadu sączą się przez poezję Zorrilla. Wiersz „El Relo“ (Zegar). Nocą na wieży gotyckiej wybija dzwon godziny. W duszy poety budzi się rój czarnych myśli, widzi ów czas, który ucieka, owo życie, ów byt. Wkoło szumią wichry, w dali lśnią światła, czas leci, pędzi śpiesznie bez tchu. A z wieży twarz spokojna, twarz bez życia spogląda: zegar. On ucieka i liczy. Liczy, dni, liczy tygodnie, miesiące. Patrzy przed siebie i wyczekuje dnia, kiedy czas zerwie łańcuchy łączące ziemię z bytem. I jak wóz od którego konie odprzęgłeś, ziemia potoczy się w nicość, w przepaść. Zagasną światła, zginie życie. Za sto lat oczy teraz lśniące radością, przymglą się i zagasną, ręce które się łączą w uścisku opadną bezwładnie — wszystko przykryje ziemia. A zegar na czarnej wieży będzie dalej liczyć chwile, chwile zbliżające koniec — — — —

„Ach jaka ciężka dola
Naszego istnienia i widzieć
W kole tajemniczem
Wplecionem w mur,
Liczbami widzieć wpisaną
Naszego dumnego bytu
Nędze... proch... nicość
Znikomą przyszłą przeszłość“.

Kwestje bytu ciągle stają się kwestjami palącemi duszę poety w latach młodzieńczych. Należą tu jeszcze wiersze: „Niekonsekwencja“, „Łańcuch“. Następnie tworzy poeta szereg wierszy dających prześliczne opisy przyrody, co jest wogóle charakterystyczną cechą jego liryki.

W „Dniu bez słońa“ znajdujemy miły opis przejęcia dusz dziecięcych w raju. Pisał też wiersze osnute na tle historji biblijnej lub Ewangelji, co dało niektórym krytykom pochop do nazwania go poetą katolickim: „Marja u krzyża“, „Dzień bez słońca“. W 1837 r. wydał tom poezyj o charakterze patrjotycznym. Najlepszy utwór to „Oda do Calderona“.

W 1842 r. wydał zbiór „Pieśni Trubadura“, po nim „Wieczory letnie“. Zorrilla niemal w całe epice zagłębił się w przeszłość Hiszpanji. „Pieśni Trubadura“ opiewają czasy wizygockie, wieki arabskie, rządy Karola V. We „Wspomnieniach i fantazjach“, „Wieczorach letnich“, „Granadzie“, „Legendzie o Cydzie“ maluje walki z Maurami, wywołuje na scenę królów, kreśli życie wewnętrzne kraju.

Z dramatów uznano jednogłośnie „Don Juan Tenorio“ za arcydzieło. Od jakich czterdziestu lat dzieło to obiegło wszystkie teatry i do dziś jest wystawiane corocznie w dzień zaduszny.

W rękopisach pozostało zapewne wiele utworów niedokończonych lub ostatecznie przygotowanych. Znajdą się tam prawdopodobnie i materjały do dokładnej biografji, chociaż wspomnienia swe poeta ogłosił już dawniej p. t. „Wspomnienia z dawnych czasów“. Chlubił się do ostatnich dni, że życie pozostawiło umysł jego młodym i zmarł istotnie w pełni działania.

DAA

Nasi sezonowi goście

Ptaki z dalekiej Północy

Wiosenne i jesienne wędrówki ptaków stanowią dotychczas jeszcze zagadnienie, którego właściwej istoty i przyczyn nauka nie zdołała jeszcze zadowalniająca wyjaśnić. Dzięki nowoczesnym metodom obserwacyjnym (obrączkowanie ptaków) uzyskaliśmy już pewne dane co do terminów odlotu, kierunku, szybkości lotu i t. p., natomiast uczeni nie są dotychczas zgodni co do kwestji, czy te coroczne ciągi są zjawiskiem pierwotnem, czy też wtórnem, a więc wynikiem zmiany warunków bytu.

Ta ostatnia teorja wydaje się jednak bliższą prawdy, a na poparcie jej przytoczyć można liczne fakty. Zdaniem wybitnego ornitologa, dr. Jana B. Sokołowskiego, wszystkie gatunki ptaków starają się, ile możności unikać wędrówek, kryjących dla ptaków liczne niebezpieczeństwa, a trzymać się stale raz obranego miejsca pobytu.

Dopiero, gdy twarda konieczność je do tego zmusza, ptaki wyruszają na wędrówkę, w poszukiwaniu lepszych i korzystniejszych warunków bytu.

Poparcie tej hipotezy znajdujemy w wędrówkach zimowych, kiedy to w naszych lasach i ogrodach zjawiają się nowe, normalnie niespotykane gatunki ptaków, by po „sezonie zimowym“ odlecieć z powrotem do swej dalekiej, a niegościnnej ojczyzny. Bo wszystkie te ptaki przybywają do nas z dalekiej północy, gdzie sroga zima grozi im zagładą.

Wędrówki zimowe zatem mają swój odrębny charakter. Podczas gdy żyjące u nas kruki, wrony i gawrony ciągną do Niemiec zachodnich lub Francji, na ich miejsce zlatują się inne osobniki, pochodzące z Północy lub Wschodu, dla których nasza zima w porównaniu z ich ojczystym klimatem wydaje się dużo łagodniejszą.

Dzięki tym zimowym ciągom nasza fauna wzbogaca się na parę miesięcy w kilka ciekawych gatunków ptactwa, którego w ciągu lata napróżno szukalibyśmy na naszych ziemiach. Wszystkie te gatunki charakteryzuje bardzo sute i gęste upierzenie, zabezpieczające je od mrozów, oraz mała płochliwość. Żyjąc w odludnych tundrach i lasach północnych, ptaki te nie boją się człowieka, skutkiem czego łatwo je stosunkowo podejść i złapać w sidła.

• •

Najokazalszym okazem tych gości zimowych, rzadko jednak spotykanym w Polsce, jest **łuskowiec** (Pinicola enucleator). Ptak ten, wagi o' 'o 60 gr., a długości całego ciała około 210 mm., gnieździ się normalnie w najdalej na północ wysuniętych krajach Europy i Azji. Dopiero wyjątkowe silne opady śnieżne i brak pożywienia zmuszają go do wędrówki. U nas pojawia się przeważnie na północy i wschodzie, — jeden okaz ustrzelono w r 1869 pod Lwowem, drugi w r. 1890 koło Brodów.

Łuskowiec (zwany też gil grubodziób, lub łuszczak), ma ubarwienie ciemno-różowe, skrzydła i ogon brunzowe. Za pożywienie służa mu latem owady, zimą nasiona rozmaitych drzew i jagody, zwłaszcza jarzębina.

* * *

Z podbiegunowych tundr, gdzie rosną karłowate brzózki, zlatuje do nas w dużych stadach, choć nie regularnie co roku, miły i piękny ptaszek: **czeczotka** (Chrysomitris flammea), tak trafnie nazwana od swego charakterystycznego głosu. Samiec, ubarwiony z wierzchu ciemno-bronzowo, a na podbrzuszu brudno-biało, ma szczyt głowy i piersi karminowo-czerwone.

Ruchliwe te ptaszki uwijają się najczęściej na brzozach, podczas ostrych mrozów szukają schronienia w puszystym śniegu.

* * *

Typowym mieszkańcem dalekiej Północy, bardzo pospolitym zwłaszcza w północnej Rosji, jest **śniegula** (Passerina nivalis), który pewien gatunek żyje aż na Alasce i Kamczatce. U nas zjawia się ona głównie na Wileńszczyźnie, chociaż obserwowano ją i w Białowieży i nawet w Poznańskiem.

Stare samce mają głowę i spód ciała śnieżno-białe, grzbiet i skrzydła bronzowe. Na ziemi nie skacze, lecz biega szybko, pochylona na wzór kuropatwy. Odznacza się śniegula miłym głosem, stąd nazywaną bywa skowronkiem Północy.

* * *

Bardzo ładnym zimowym ptaszkiem, nawiedzającym nas co roku, jest **jemiołuszka** (Bombycilla garula). Ojczyzną jej jest daleka północ Europy, Azji i Ameryki. Upierzenie bronzowo-szare z czarnemi plamami; na lotkach ramieniowych charakterystyczne zakończenia w postaci jaskrawo czerwonych blaszek, wyglądających jakby były z laku. Tego rodzaju ozdoby nie posiadają żadne inne ptaki. Zabawnie też wygląda długi czub na głowie, który ptaki podnoszą, kiedy je coś niepokoi.

Jemiołuszka uchodzi za żarłoka. Potrafi bowiem opychać się poprostu bez końca jagodami: głogu, berberysu, kaliny. Ulubionym jej przysmakiem są owoce jarzębiny. Wartość odżywcza tych jagód jest jednak niewielka, toteż nic dziwnego, że ptak potrzebuje dużo tego pokarmu podczas mroźnej zimy, by zdobyć odpowiednią ilość kaloryj ciepła.

Odznacza się jemiołuszka dużym spokojem i rozwagą, człowieka zupełnie się prawie nie lęka.

* * *

Do sezonowych gości należy też **skowronek górniczek** lub **północny** (Otocorys alpestris flava), którego ojczyzną są tundry syberyjskie. Jasno-żółta głowa ozdobiona jest po bokach dwoma małemi czarnemi rożkami, grzbiet szaro-bronzowy, spód białawy, lotki bronzowe, sterówki czarne.

Na ogół dość rzadki, zjawia się częściej w Małopolsce i na Pomorzu. Przylatuje w listopadzie, w lutym zaś wraca na Północ.

Późną jesienią też przybywa do nas **zięba jer** (Fringilla montifringilla), spotykana zwłaszcza w lasach bukowych. Na wiosnę samiec posiada bardzo piękne ubarwienie; u nas, w miesiącach zimowych, nie mamy sposobności obserwować go w całej krasie szaty godowej. Zazwyczaj ma piórka bronzowo obrzeżone na głowie, grzbiecie i szyi, brzuch biały.

Wspomnieć wreszcie należy o pewnej odmianie gila. Jest to tzw. gil północny (Pyrrhula pyrhula), nieco większy od zwykłego „górskiego“, pięknie upierzony, stanowiący prawdziwą ozdobę naszych lasów. Wedle Sokołowskiego i ta odmiana, jakkolwiek pochodząca z dalekiej Północy, zdołała się już u nas zaaklimatyzować.

• •

Prawdziwie egzotycznym ptakiem jest **krzyżodziób świerkowy** (Loxia curvirostra). Choć ojczyzną jego są lasy północnej Europy, przypomina on pod niejednym względem mieszkankę strefy podzwrotnikowej, papugę. Najpierw dzięki swemu pięknemu ubarwieniu: samiec jest prawie cały jaskrawo czerwony, tylko lotki i podbrzusze szare. Dalej potężny dziób, zagięty i skrzyżowany, służący mu do wyłuskiwania ziarna ze szyszek. Wreszcie jego pełzanie po pniu drzewa, przyczem pomaga sobie dziobem, lub też uwieszanie się na gałęzi, głową na dół. Żywi się prawie wyłącznie nasieniem świerku, przyczem naturalnie zjada dużo żywicy, którą nasiona te są przepojone.

Dzięki temu całe ciało ptaka przesiąka pomału tą substancją żywiczową i nie ulega po śmierci rozkładowi. Wszystko to razem sprawia, że o górali krążą na temat krzyżodzioba liczne fantastyczne legendy.

(R.)

Uwagi o najnowszej powieści pomorskiej

Powieści pomorskiej, w zrozumieniu właściwie pojętego regjonalizmu, niema. Pierwszą próbę w tej dziedzinie podjął Jerzy Bandrowski szeregiem opowiadań i powieści z polskiego wybrzeża. Ukazał nam życie i pracę rybaków, nie dotarł jednak do istoty ich charakteru. Udane, niekiedy prześliczne (ale także przeidealizowane) opisy zewnętrzne stanowią główną wartość morskich utworów Bandrowskiego. Stefan Balicki, który dla swej powieści obrał także tło polskiego wybrzeża, dotarł nieco głębiej do duszy kaszubskiego rybaka, ale i jego powieść (Dziewiąta fala) nie jest jeszcze żywem odbiciem duszy pomorskiej. W każdym razie były utwory Bandrowskiego i Balickiego szczęśliwą próbą stworzenia pomorskiej powieści regjonalnej, próby, której nikt nie kontynuował, kiedy minął pierwszy entuzjazm posiadania własnego morza.

POWIEŚCI WSPÓŁCZESNE

Dopiero dwa lata temu pojawiły się znów dwie powieści osnute na tle Pomorza — tym razem nie z życia rybaków. Akcja powieści Adama Grzymały - Siedleckiego (Miechowiec i Syn), rozgrywa się w małem miasteczku pomorskiem. Głównym bohaterem jest stary Miechowiec, Wielkopolanin z pochodzenia, który stworzył sobie swój warsztat pracy na Pomorzu, zrósł się tak całkowicie z ziemią i mieszkańcami, że do pewnego stopnia uważany być może za reprezentanta Pomorza. Autor wcielił też w Miechowca główne cechy mieszczaństwa pomorskiego, cechy w dużej mierze wspólne mieszczaństwu ziem zachodnich. Starego Miechowca cechuje więc energja i odwaga życiowa, przedsiębiorczość, siła fizyczna i moralna, jako kupca doskonała znajomość fachu, głęboka miłość do pracy, rzetelność i uczciwość w stosunku do dostawców i klientów, sprawiedliwość — ale i twardość w stosunku do swych współpracowników, tkliwa miłość ojcowska do syna, która się rzadko uzewnętrznia, zato jest tem głębsza i tem mocniejsza. W czasach najostrzejszego kryzysu ekonomicznego nie traci głowy, nie puszcza się na sztuczki, by ratować zagrożone przedsiębiorstwo, honor kupiecki uważa za podstawę swej pracy.

Obdarzony przez autora takiemi cechami zawodowemi — reprezentuje więc Miechowiec doskonale polski stan kupiecki znakomicie rozwinięty na ziemiach zachodnich. Jego „pomorskość" uwydatnia się w pewnej szorstkości zewnętrznej, która np. nie cechuje Wielkopolan, ale to i właściwie wszystko, co w Miechowcu jest „pomorskie". Młody Miechowiec jest typem zupełnie do ojca niepodobnym, nie posiada żadnych takich cech zewnętrznych czy duchowych, któreby mu nadawały pewną odrębność mieszkańca Pomorza. „Pomorskość" tła uwydatniona jest bardzo pobieżnie. Nie poznajemy bliżej rodowitych mieszkańców miasta, ich życia, zainteresowań, cech charakterystycznych. Postaci pomorskie, jakie się migawkowo przewijają przez powieść, nie wnoszą nic regjonalnego do utworu, są raczej bezbarwne lub typami wartości ujemnej, co także zostało lekko tylko naszkicowane. W sumie więc nie może powieść Grzymały Siedleckiego pretendować do tego, by być powieścią „pomorską", mimo wysokich swych walorów artystycznych i kompozycyjnych.

Słabsza pod każdym względem powieść Gustawy Jareckiej (Stare Grzechy), która się pojawiła niemal równocześnie z utworem Grzymały - Siedleckiego, ma także za tło miasteczko pomorskie. I na tem się też właściwie kończy cała „pomorskość" powieści. Widzimy coprawda fragmenty życia mieszczan, ale fragmenty są tak nic nie mówiące, że niema potrzeby zatrzymywać się nad niemi dłużej. O wiele pełniej uwydatnia się w powieści życie proletarjatu miasteczka. Szereg momentów charakterystycznych tego proletarjatu pomorskiego uwydatniła autorka trafnie, podkreślając jego bierność wypływającą z poszanowania autorytetu i władz, umiejętność radzenia sobie bez uciekania się do gwałtu, do czynów kolidujących z prawem, dużą wrażliwość etyczną, wielkie poczucie solidarności, uczciwość w pracy, rzeczowe i beznamiętne ustosunkowanie się do różnych przejawów życiowych. Akcentów wybitnie pomorskich, jeśli pominąć dość wątpliwej autentyczności gwarę, w powieści niema. Stąd i ta powieść, nie odzwierciedlająca poważniej charakteru pomorskiej ziemi i ludu, powieścią pomorską nazwaną być nie może.

Uderzającym szczegółem we wszystkich dotąd krótko omówionych powieściach, nie wyłączając powieści morskich, jest brak głębszej problematyki związanej z krajem i ludem, przyczem zwłaszcza uderza brak problemu niemieckiego, przecież tak żywotnego na ziemiach zachodnich Polski, a już specjalnie na Śląsku i Pomorzu. Czytelnik z poza ziem zachodnich byłby rad dowiedzieć się z powieści osnutej na tle pomorskiem, jak się ludność ustosunkowała do nowych warunków, jaki jest stosunek do Niemiec i Niemców dziś, jak wygląda zagadnienie irredenty, czy nie istnieją tendencje powrotne, jak ułożyło się współżycie Polaków z Niemcami na Pomorzu i wiele podobnych zagadnień.

FANTAZJE NA TEMAT PRZYSZŁEJ WOJNY

Tymczasem żadna dotąd powieść nie dotknęła tego zagadnienia. Conajwyżej przewija się przez nie wątek czystej fantazji na temat przyszłej wojny z Niemcami. Ale i to jest nic bardzo wątłutka. W powieści Jima Pokera (Panna Morska) czytamy o konflikcie polsko - niemieckim, powstałym z racji przychwycenia dwóch szpiegów na terenie polskim i reakcji na tę wiadomość ze strony czynników niemieckich. „Ludność" niemiecka w „świętem" oburzeniu na bezczelność polską „samorzutnie" formuje się i przekracza granicę polską. Wojna wybucha i toczy się krwawo mimo oficjalnych zapewnień rządu niemieckiego i zwalania wszystkiego na „samorzutność" ludności, znaczna część Polski zachodniej, a także Warszawa zostaje zniszczona wskutek działań wojennych. Liga Narodów jest bezsilna. Najgorzej cierpi Pomorze. Zajęte jest niemal całkowicie. W sercu Pomorza znajduje się sztab armji niemieckiej z Kronprinzem na czele. Dzięki ofiarności Polki (Pomorzanki), ginie następca tronu w zamku zbombardowanym przez polskich lotników. Polacy przystępują do silnego kontrataku. Zwyciężają. Autor opisuje część działań wojennych na lądzie i na morzu i przy tej sposobności podkreśla znaczenie polskiej floty. Ludności przy akcji nie widzimy. Autor nie nadaje tej części powieści waloru problemu, traktuje ją fabularnie. Stąd oczywiście żadnych głębszych wniosków na temat problemu niemieckiego z „Panny Morskiej" wyciągnąć nie można.

Przyszłej wojnie z Niemcami poświęcił także powieść Maciej Wierzbiński, jedyny powieściopisarz polski, który miał ugruntowany sąd w sprawach polsko - niemieckich. Fabuła „Ataku Sępów" jest także zanadto fantastyczna, aby z niej wyciągnąć można wnioski o wartości trwalszej; stąd się przy niej nie będę zatrzymywał. Akcja toczy się mutatis mutandis podobnie jak w powieści Pokera z większą dawką elementu szpiegowskiego, z większym współudziałem ludności pomorskiej, która współpracuje w akcji demaskowania irredenty i wywiadu niemieckiego — jak i później w działaniach wojennych.

POWIEŚCI POWSTAŃCZE

Właściwy swój pogląd na kwestję niemiecką w odniesieniu do Polski rozwinął Maciej Wierzbiński w trzech powieściach „powstańczych", w których kolejno ujmuje dzieje uwalniania się ziem zachodnich z pęt pruskich. („Wolność" — powstania wielkopolskie; „Pękły okowy" — powstania górnośląskie; „Zdobycie Gdańska" — powstania pomorskie). We wszystkich zresztą trzech powieściach autor wypowiada zbliżone do siebie poglądy na tematy polsko - niemieckie. Poglądy te cechuje bardzo ostra krytyka narodowego charakteru niemieckiego, oraz zasadniczych elementów kultury niemieckiej.

O PRZYSZŁĄ POWIEŚĆ POMORSKĄ

Jednak i Wierzbiński nie stworzył powieści pomorskiej, jakkolwiek w sposób najbardziej pełny namalował oblicze zagadnienia niemieckiego w powieści Polski zachodniej. Dzień dzisiejszy stwarza możliwości w tym kierunku jeszcze wiele więcej. Zagadnienia niemieckie ma dziś na Pomorzu swe zupełnie specyficzne oblicze, które najciekawiej właśnie wydobyć może powieściopisarz, łącząc rzeczywistość z fikcją, stwarzając pewne predyspozycje duchowe w czytelniku polskim. Ale do takich tematów może się zabrać jedynie powieściopisarz wielkiej miary, dużego talentu. Trzeba dalej powieści, któraby dała przekrój artystyczny życia i pracy ludu, mieszczaństwa pomorskiego, powieści o nowej Polsce na Pomorzu, powieści, któraby odzwierciedliła stosunek ludności pomorskiej do dzisiejszych zagadnień niemieckich zarówno na własnym terenie jak i w odniesieniu do Rzeszy.

Pomorze jest dziś dla większości ziem polskich tak samo nieznanym krajem — jak nim do niedawna był Śląsk.

ALFRED JESIONOWSKI

Jan Sibelius

Hamowana przez długie wieki w swym rozwoju narodowym i kulturalnym Finlandja, jako prowincja olbrzymiego państwa rosyjskiego, pozostawała niemal do ostatnich czasów daleko w tyle poza innemi narodami europejskiemi.

Taksamo rzecz się miała i z muzyką, o ile pominiemy prastarą muzykę i pieśń ludową. Początkiem powstania muzyki narodowej było właściwie dopiero założenie w roku 1882 w Helsinki Instytutu Muzycznego, oraz utworzenie pierwszej własnej orkiestry, w czem największe zasługi położył Robert Kajanus, muzyk i kompozytor. On też jest autorem dwóch dzieł, mających raczej historyczną wartość, tj. marsza żałobnego *Kullervo* i Symfonji *Aino*. Oba dzieła, osnute na tle narodowej epopei fińskiej, „Kalevala", noszą już pierwsze wyraźne cechy oryginalności opierając się na ludowych motywach.

Do tych samych źródeł sięgnął też początkowo Jan Sibelius, którego siedemdziesiątą rocznicę urodzin święci obecnie uroczyście wolna już Finlandja. Jako dwudziestopięcioletni młodzieniec wystąpił publicznie w roku 1892 ze swym koncertem: była to symfonja *Kullervo*, dzieło jeszcze niezupełnie dojrzałe, ale pełne siły i wyrazu, zrywające śmiało z panoszącym się wówczas romantyzmem, otwierające muzyce fińskiej nowe zupełnie horyzonty.

W krótkim czasie pojawiają się dalsze utwory Sibeliusa z cyklu *Lemminkainen* (jeden z bohaterów „Kalevali") przyjęte z entuzjazmem przez rodaków, owiane głębokim liryzmem, tkwiące mocno korzeniami w muzyce ludowej.

Z utworów orkiestralnych Sibeliusa najbardziej znane są dwa: *„Valse triste" i „Finlandja"*. O tym ostatnim twierdzą Finowie nie bez słuszności, że nigdy jeszcze żaden syn Finlandji nie stworzył nic bardziej pokrzepiającego na duchu, bardziej monumentalnego, a równocześnie narodowego.

Sibelius ma dzisiaj poza sobą bardzo obfity i cenny dorobek artystyczny. Próbował swych sił zarówno w przepięknych balladach i pieśniach, jak w kwartetach, koncertach na skrzypce i suitach.

Największą jednak sławę zdobył swojemi *Symfonjami*. Muzyka to, owiana jakimś mistycyzmem i symbolizmem nie każdemu dostępna, nawskroś modernistyczna, — stawiająca Sibeliusa w rzędzie najwybitniejszych współczesnych kompozytorów.

Sibelius jako muzyk i kompozytor rozniósł sławę swej ojczyzny po całym świecie. Dla swych rodaków pozostanie on zawsze przedewszystkiem twórcą nawskroś narodowym, — gdyż natchnienie do swych utworów czerpał z przebogatej skarbnicy pieśni i legendy ludowej.

A już specjalnie wdzięczni mu zostaną za dwa utwory: *„Oswobodzona królowa"*, do symbolicznego poematu Cajandera, z czasów, gdy Finlandja, pod carskiemi rządami, musiała swe uczucia patrjotyczne skrywać pod płaszczykiem symbolicznej baśni, — oraz uroczysty, wspaniały hymn *„Do Ojczyzny"* (również do słów Cajandera), niemniej popularny we Finlandji, jak nasza „Rota".

Nie dziw zatem, że siedmdziesiąta rocznica urodzin pierwszego wielkiego naprawdę na europejską miarę, muzyka święci cała Finlandja w sposób szczególnie uroczysty. *(N.)*

„Świat i życie"

Ukazał się — z wzorową punktualnością — zeszyt X zarysu encyklopedycznego „Świata i Życia" (Książnica-Atlas, S. A.). Zeszyt ten stanowi zamknięcie tomu III tego pożytecznego wydawnictwa.

Te trzy tomy stanowią już dorobek bardzo poważny i całkowicie pozwalający na zdanie sobie sprawy z tego, czem jest „Świat i Życie". Zgodnie z zapowiedzią redakcji należy jeszcze oczekiwać tomu IV i następnie tomu V, całkowicie odmiennego, niż cztery tomy pierwsze; tom V będzie mianowicie małą encyklopedją ogólną, w której czytelnik znajdzie nie tak w pierwszych czterech tomach wybór szeroko opracowanych monografij, lecz możliwie pełne, krótkie, lecz pouczające wzmianki encyklopedyczne.

Walną zasługą tego wydawnictwa jest przedewszystkiem to, iż skupiło ono koło siebie cały szereg najwybitniejszych uczonych, specjalistów, a wreszcie i polityków. W „Świecie i Życiu" na usługi popularyzacji wiedzy oddali swe pióra najwybitniejsi ludzie, stwarzając istotnie nowy typ i nowy szlachetny rodzaj popularyzacji, tak potrzebny w naszych warunkach.

Na specjalną uwagę zasługuje strona graficzna „Świata i Życia". Każdy czteroarkuszowy zeszyt opatrzony jest w arkusz pięknych ilustracyj, które razem stanowią pokaźny i interesujący album. Poza tem dużo rysunków kreskowych w tekście. Całość jest istotnie imponującem świadectwem rzetelnego wysiłku zasługującego na uznanie i poparcie.

MAURIGE DONNAY

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

MICHAŁ. — Nic, a nic! Wy się nie obarczacie żadnym ideałem.

JUDYTA. — Nasze ideały są z tego świata. Są niemi prawda i sprawiedliwość!

MICHAŁ. — Jesteście praktyczniejsi i realniejsi od nas, to pewne. Ale jesteście także spekulantami, wyzyskiwaczami, aferzystami.

JUDYTA — Twierdzisz, że pomiędzy wami ich niema?

MICHAŁ. — Stosunkowo mniej, w każdym razie.

JUDYTA. — Tyś to zadecydował?

MICHAŁ. — Tak, bo u nas są robotnicy, wieśniacy i wszystkie elementy, składające się na naród, a nie na bandę. A u was, na jednego Hoendelssohna, wielu Vowenbergów? Tylko, że ty nie stawiasz między nimi żadnego rozgraniczenia.

JUDYTA. — Bądź spokojny, już ja je stawiam.

MICHAŁ. — Wszystko, co mówią jest nadzwyczajne, wszystko, co robią doskonałe. Czujesz się dobrze jedynie pośród nich.

JUDYTA. — To możesz śmiało twierdzić!

MICHAŁ. — Przyprowadziłaś mi tu wszystkich. Najpierw przyszedł jeden, potem dziesięciu, potem dwudziestu, wreszcie stu... każdy w towarzystwie innych stu... Teraz ich jest dziesięć tysięcy!

JUDYTA. — Przesadzasz!

MICHAŁ. — Och, niewiele. Wpakowali się tutaj, niedyskretni, natarczywi, wrzeszczący, bezczelni... To gwałtowny, zaborczy strumień... Twoim lekarzem jest Żyd.

JUDYTA. — Toteż jestem zdrowa.

MICHAŁ. — Twoim adwokatem jest Żyd.

JUDYTA. — Udziela mi samych dobrych rad.

MICHAŁ. — Twoim krawcem jest Żyd i widać to... Wszyscy twoi dostawcy, to Żydzi!

JUDYTA. — Lepsi... tańsi.

MICHAŁ. — Wszystko, wszystko, dokoła mnie jest żydowskie!

JUDYTA. — Jesteś niesprawiedliwy, Michale; moja służba nie jest żydowska, ale mój kochanek nim będzie, jeżeli do tego zmierzasz!

MICHAŁ. — Zmierzam do tego, żeby się to raz skończyło, bo już mam dosyć słyszysz? Dość tego! mam dość przyjmowania u siebie ludzi, którzy są moimi przeciwnikami i którzy kalają swojemi szyderstwami wszystko, co szanuję! Oni tylko to jedno potrafią... Doszli nawet tak daleko, że uznali męstwo za coś śmiesznego.

JUDYTA. — Mają słuszność... męstwo bywa czasami komiczne. Co do mnie, mam już dosyć twoich humorów i twojej niesprawiedliwości!

MICHAŁ. — A co najbardziej niepokojące, to to, że ty stajesz po ich stronie, przeciwko mnie. Nigdy nie pojmowałaś, do jakiego stopnia irytuje i rozgorycza, jeśli kobieta, którą się kocha...

JUDYTA. — Ach! mówmy teraz o twojej miłości!

MICHAŁ. — Tak jest, jeśli kobieta, którą się kocha, bezustannie chwali i wynosi pod niebo ludzi, będących największym kontrastem tego, który ją kocha. Bo trzeba przyznać: czynisz to stale w sposób bezwzględny i nietaktowny.

JUDYTA. — Tem gorzej dla ciebie, jeśli porównanie nie wypadło na twoją korzyść... trzeba było być podobnym do nich.

MICHAŁ. — Podobnym do nich, niech Bóg zachowa!

JUDYTA. — Tem gorzej dla ciebie, nie trzeba było okazać się niższym... A więc tak, wolę ich od ciebie; uważam, że są sto razy, dziesięć tysięcy razy inteligentniejsi i milsi od ciebie; tak jest, nauczyłeś mnie ich kochać, razem z ich błędami i przywarami. To mój naród, moja rasa, kocham ich bez zastrzeżeń! Nie przestanę nigdy żałować, że się na jakiś czas od nich oddaliłam. Ach! Boże! Gdybyż to było do odrobienia!

MICHAŁ. — A jednak, mimo wszystko, ci ludzie będą musieli zapomnieć drogę do mojego domu...

JUDYTA. — Rościsz sobie prawo zamykania drzwi moim przyjaciołom? A więc zapewne wolisz, żebym szła do nich? Chyba nie zamierzasz więzić mnie tutaj? Żyć z tobą we dwoje?... A, dziękuję, toby było zabawne! Ale ja, to mogę przyjmować twoich przyjaciół!

MICHAŁ. — Niewielu. Przestali przychodzić.

JUDYTA. — Wystarczy... Samego tego małego Jezuity Trévières'a, byłoby aż nadto... a tu jeszcze twój nieudany, głupawy wuj i ten szurgot, twoja siostra!

MICHAŁ. — Zabraniam ci...

JUDYTA. — Będę tu przyjmowała, kogo mi się żywnie podoba, możesz być pewny.

MICHAŁ. — W każdym razie jest ktoś, kogo nie przyjmiesz nigdy, zato ręczę, a tym jest twój Vowenberg!

JUDYTA. — Zobaczymy. I wszystko dlatego, że powiedział o twoim bracie, żołnierzu, że pełni zawód głupca... miał słuszność!

MICHAŁ. — W niewiększej mierze, jak twój brat bankowiec, pełni zawód złodzieja!

JUDYTA. — Aa! Miej się na baczności, Michale, miej się na baczności! Porzuciłam już jednego mężczyznę, z którym się nie mogłam zgodzić. Porzuciłam go dlatego, że nie znosił ludzi mojej rasy, dlatego, że chciał mi narzucić swój kąt widzenia i pojmowania, a raczej niewidzenia i nie pojmowania niczego wogóle! Nie pozwolę sobie również narzucić twoich przekonań, nie zniosę, byś sobie rościł prawo do panowania nad mojemi myślami, które są moją własnością. Słyszysz, moją! Nie zniosę jakiejkolwiek kontroli nad doborem moich przyjaciół! Na to się nigdy nie zgodzę!... nigdy! raczej sobie pójdę...

MICHAŁ. — Judyto, ależ Judyto! nie krzycz tak... Co ci jest? Proszę cię uspokój się... Nie myślałem tego w ten sposób... powiedziałem więcej, niż chciałem...

(Stara się ją uspokoić, przekonać).

JUDYTYA. — Łatwo to powiedzieć... (I w napadzie gniewu wciąż wzrastającego, nie przestaje krzyczeć). — Nie, nie, już zapóźno... Pójdę sobie!.... Pójdę sobie!...

Akt IV.

Scena 1.

MICHAŁ, TREVIERES, potem JUDYTA.

MICHAŁ. — Proszę mi wybaczyć, że dałem panu czekać.

TREVIERES. — To ja przepraszam że przeszkadzam, ale muszę z panem pomówić.

MICHAŁ. — No, o cóż chodzi?

TREVIERES. — O... to sprawa bardzo delikatnej natury... spotkała mnie rzecz dość zdumiewająca... początkowo chciałem do pana napisać; ale zdawało mi się, że lepiej będzie, jeżeli sam przyjdę. Prosiłem przed kilkoma dniami o polecenie mnie Sagelier'owi, który jest pańskim przyjacielem, by mnie przyjął do swego ministerstwa. Zakomunikował mi pan w konsekwencji, że pan istotnie mówił z Sagelier'em i że na skutek pańskiej interwencji wydawał się bardzo przychylnie dla mnie usposobiony. Dodał pan nawet, że uważa tę sprawę niejako za załatwioną.

MICHAŁ. — Tak jest. No i...?

TREVIERES. — No i czy panu wiadomo, kto został mianowany?

MICHAŁ. — Nie.

TREVIERES. — Vowenberg.

MICHAŁ. — Vowenberg?

TREVIERES. — Naprawdę, nie wiedział pan o tem?

MICHAŁ. — Poraz pierwszy słyszę.

TREVIERES. — A przecież w tej sprawie wstawiała się za nim osoba bardzo panu bliska.

MICHAŁ. — Nic, a nic nie rozumiem o jakiej osobie pan mówi?

TREVIERES. — Ależ o pańskiej... ależ o pańskiej przyjaciółce, no... o pani Fuchsyani.

MICHAŁ. — Judyta! Sądzi pan, że Judyta...

TREVIERES. — Ja nie sądzę, ja jestem tego pewien. Pani Fuchsyani nietylko poleciła działać Hoendelssohnowi, ale także sama napisała list do ministra, w którym powołując się na dawne, przyjacielskie stosunki prosiła go, by się zajął Vowenbergiem i przyjął go.

MICHAŁ. — Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby pani Fuchsyani napisała taki list bez mojej wiedzy. Czy pan widział ten list, Trévières?

TREVIERES. — Tak jest, widziałem.

MICHAŁ. — Aa!

(Milczenie).

TREVIERES. — Może pani Fuchsyani nie wiedziała, że pan się interesował sprawą tego stanowiska ze względu na mnie?

MICHAŁ. — Owszem, wiedziała.

TREVIERES. — Aa!

MICHAŁ. — Drogi przyjacielu, to wszystko jest niezmiernie przykre... Najmocniej pana proszę o przebaczenie i ponieważ pojmuję, w jakim stanie umysłu przyszedł pan do mnie, dołączam do prośby o przebaczenie słowo honoru nato, że nic nie wiedziałem o podjęciu kroków przez panią Fuchsyani. Daję nato słowo honoru.

TREVIERES. — Och! Między panem, a mną słowo honoru jest zbyteczne.... Pan twierdzi, że tak było, to wystarczy.

MICHAŁ. — Tak, musi wystarczyć.

TREVIERES. — Panie Aubier, jestem bardzo zmartwiony... zrobiłem panu przykrość... nie powinienem był panu mówić...

MICHAŁ. — Owszem, owszem, moje dziecko, dobrze pan zrobił... przeciwnie, trzeba mi było powiedzieć... lepiej, że wiem. Tylko źle, że pan o mnie zwątpił. Gdyby pan się był zastanowił nad tem, że poprzedniego dnia wyrzuciłem Vowenberga za drzwi, we własnym domu i że się z nim biłem, to jakże mógł pan sobie wyobrazić, że nagle zająłem się jego sprawami do tego stopnia, by aż zdradzić pana, dla którego mam wiele sympatji i któremu dałem już przyrzeczenie.

TREVIERES. — Rzeczywiście, wydawało mi się to bardzo dziwne ze strony człowieka, takiego, jak pan... Jednak, czasami, mimowoli ulega się wpływom...

MICHAŁ. — Nie, nie, drogi przyjacielu, jeżeli chodzi o dane słowo, niczyj wpływ...

(W tej chwili wchodzi Judyta; wraca z miasta. Jest w kostjumie przedpołudniowym, w kapeluszu, z jasną parasolką i t. d.)

JUDYTA. — Dzieńdobry, Michale. Wchodzę bez ceremonji. Wiedziałam, że jest u ciebie tylko Trévières. (Do Trévières'a). — Dzieńdobry, Trévières.

TREVIERES. — Dzieńdobry pani.

JUDYTA. — Nie gniewa się pan?

TREVIERES. — Skądże znowu! Do czegoby doszło, droga pani, gdybyśmy się krępowali między przyjaciółmi.

JUDYTA. — Istotnie... Ma pan może jeszcze do pomówienia z Michałem?

TREVIERES. — Nie, nie, skończyliśmy... właśnie miałem odejść. Dowidzenia pani.

JUDYTA. — Dowidzenia, Trévières.

(Wychodzi. Michał go odprowadza. Judyta, zostawszy sama zdejmuje kapelusz. Michał wraca.)

Scena 2.

MICHAŁ, JUDYTA

MICHAŁ. — A więc pisałaś do Sagelier'a, polecając mu Vowenberga?

JUDYTA. — Tak jest, pisałam.

MICHAŁ. — Trudno mi uwierzyć, żeś mogła zrobić coś podobnego.

JUDYTA. — Dlaczego?

MICHAŁ. — Dlaczego! Pytasz mnie dlaczego! Jakto, więc ja ci wszystko mówię, nie mam przed tobą żadnych tajemnic, jesteś au courant tego, co robię, wiedziałaś doskonale o tem, że się zająłem tym... no... (Nie może sobie przypomnieć nazwiska.) — Ach!

JUDYTA. — Trévières'em.

MICHAŁ. — Tak, Trévières'em, by mu wyrobić to stanowisko. A ty, w tym samym czasie, nic mi nie mówiąc, manewrujesz, by je uzyskać dla Vowenberga! Nie uważasz, że to niesłychane?

JUDYTA. — Nie... ty miałeś swojego protegowanego, a ja, swojego. Czyż nie było umówione, że każde z nas zatrzymuje swoich przyjaciół? Nie rozumiem, dlaczego się przejmujesz do tego stopnia sprawą tak małej wagi?

MICHAŁ. — Małej wagi? Ty znajdujesz to mało ważnem?

JUDYTA. — Do licha, nie idzie przecież o życie ludzkie, mimo wszystko: chodzi o stanowisko urzędnika i w dodatku nie dla ciebie.

MICHAŁ. — Ależ wolałbym sto razy, żeby to było dla mnie; zrozumże, iż mnie to osobiście dotknęło. W jakiem świetle stawia mnie ta historja w oczach Trévières'a? Byłem zmuszony przeprosić go...

JUDYTA. — Zbytek uprzejmości.

MICHAŁ. — I chociaż mu dałem słowo honoru, że nie wiedziałem nic o twoim liście do Sagelier'a, nie jestem pewny, czy odszedł przekonany.

JUDYTA — Niech sobie Trévières myśli, co mu się podoba, nic mnie on nie obchodzi.

MICHAŁ. — Natomiast Vowenberg obchodzi się zanadto. Ważne musiały być motywy, które cię skłoniły do działania w interesie człowieka, będącego moim jawnym wrogiem i który, wiesz o tem, tak bardzo mnie nienawidzi. Dlaczegoś to zrobiła? Kochasz go, jest twoim kochankiem... co? Odpowiadaj.

JUDYTA. — Ale nie, ale nie; to, co mówisz niema najmniejszego sensu. Jakiż to ma związek?

MICHAŁ. — A więc cóż takiego jest między wami, żeś się nie zawahała przed tą zdradą?

JUDYTA. — M[illegible]le!

MICHAŁ. — Tak jest, przed zdradą... Niema na to innej nazwy. Cóż jest między wami? Nie wiem... szukam... No wytłumacz mi... nie powiesz chyba znowu, że dlatego, iż on jest Żydem...

JUDYTA. — Ale tak..

MICHAŁ. — Tak, jesteście solidarni!

(C. d. n.)

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— W najnowszych toaletach wieczorowych widzi się dużo frendzli. Długie, jedwabne frendzle służą do przybrania draperji na sukni, albo też stanowią obramienie dużego szalu, zarzuconego fantazyjnie na ramiona. Szal taki wygląda bardzo malowniczo, wskrzeszając poetycką wizję szali hiszpańskich czy weneckich.

— Koronki znajdują szerokie zastosowanie w sukniach wieczorowych. Z ciężkich, solidych koronek robi się suknie zupełnie obcisłe — krojem princesse, — spływające bez najlżeiszych nawet fałdów do samej ziemi. Trzeba jednak mieć naprawdę klasyczną figurę i imponującą postawe, by suknia po dobna mogła sprawić pożądany efekt. Lekkie, przeźroczyste koronki kombinuje się z tiulem lub innym powiewnym materjałem. Odpowiednie to będzie naturalnie tylko dla zupełnie młodych kobiet.

— Bardzo efektownie wygląda też koronkowa cape z kapuzą, przybrana piórami strusiemi lub futerkiem małpy.

— Obok klasycznych czarnych i białych — modne są również koronki kolorowe, przyczem najlepiej i najbardziej dystyngowanie wyglądają kolory: popielaty, beige i bronzowy.

— Do kostjumów sportowych nosi się małe kamizelki futrzane, ze źrebców, lamparta, ocelota lub foki.

— Zarówno płaszcze futrzane jak i peleryny zaopatrywane są w kaptu-rek, służący do okrycia głowy przed wiatrem i śniegiem. Moda kapturków przyjęła się bezapelacyjnie. Są one naprawdę bardzo wygodne i „warzowe“, a pozbawiają nas licznych kłopotów z kapeluszem, który tak trudno dobrać do wysokiego futrzanego kołnierza.

— Przy kapeluszu zimowym obowiązkową jest krótka, odsłająca woalka. Wyjątek stanowią strojne kapelusze, przybrane piórami i rajskiemi ptakami, — oraz naturalnie berety. Te ostatnie utrzymują się nadal zwycięsko na placu, — coprawda mają one nieraz wręcz fantastyczne kształty.

— Czarna jedwabna, powłóczysta spódniczka, stała się powszechnie przy jętym strojem na wieczorki, dancingi i herbatki. Bluzka ma bardzo szerokie rękawy, spódniczka w połaczeniu z ozdobną bluzką z crepe - satin, lamy lub tafty spięte u nasady dłoni.

Kostjum na wieczór

Dużą popularnością cieszy się w obecnym sezonie elegancki kostjum wieczorowy, nazwany „tailleur de minuit“. Nosi się go zarówno na koncert, jak do teatru, czy na wieczorne przyjęcia lub herbatki z brydżem.

Kostjum taki składa się z długiej obcisłej spodniczki, u dołu mocno rozszerzonej, — oraz z klasycznego żakieciku, zapinanego w pasie na jeden guzik. Rękawy, szerokie u góry, u nasady dłoni zwężone, — rewersy szerokie, opadają miękką, fantazyjną draperją.

Z reguły żakiet i spódniczka są z tego samego materjału, aksamit, tafta; można jednak aksamitną spodniczkę skombinować np. z żakiecikiem z tafty, nakrapla-nej w złote centki. I wówczas jednak żakiet musi być w tym samym kolorze, co spódniczka.

Uzupełnieniem takiego „tailleur de minuit“ będzie bluzka z lamy, zapisana na guziki ze strassu.

Co kupimy na drzewko?

Swięta za pasem... Chyba urządzimy tradycyjne drzewko dla naszych dzieciaków, wyczekujących niecierpliwie, z całą żarliwością naiwnego serduszka, tej wielkiej chwili? Mimo wszystko, — mimo kryzysu i redukcji, mimo protestów zgryźliwych tetryków ubolewających nad rzekomą dewastacją lasów.

Bo nie trzeba, nie wolno nam pozbawiać dziecka tych najmilszych złudzeń: niechaj wyniesie i przechowa w sobie wspomnienia tych lat dziecinnych, z nieodłącznym „Aniołkiem“ i Bożem drzewkiem.

A więc — urządzamy drzewko. Drzewko „kryzysowe“. Nie idzie o wspaniałe, kosztowne ozdoby. Troszkę dobrej woli, cierpliwości i inwencji, a ozdoby te sporządzimy same. Może nie tak piękne, nie tak błyszczące, ale przez dziecko spewnością równie mile widziane. Materjał znajdzie się w każdym domu: włóczka kolorowa, papier złoty lub srebrny, rafja, źdźbła słomy, zapałki, wydmuchane skorupki z jajek fantastycznie pomalowane, trochę naciorków kolorowych... Co z tego wszystkiego można wyczyniać za cuda!

Prawda, — nie każda z nas będzie miała dość czasu na zajęcie się osobiście temi rzeczami. Nie każda zresztą potrafi, operując temi prymitywnemi środkami, stworzyć z nich przeróżne śmieszne figurki, zwierzaki, dzbanuski, lampjony.

Trzeba będzie niejedno dokupić. Kupujemy więc, kierując się sercem i rozumem. Kupujemy tylko i wyłącznie wyroby krajowe, sporządzone rękami polskich pracownic w polskich warsztatach. Jakżeż prześliczne cacka pro dukują np. nasze szkoły zawodowe! Tanie, oryginalne, a przedewszystkiem swojskie, nasze własne. Rzeczy te powinny bezapelacyjnie wyrugować fabryczne wyroby zagraniczne, jak np. owe szklane kule i podobne ozdóbki, sprowadzane przeważnie z Niemiec, a bijące w oczy swą jarmarczną jaskrawością w każdym niemal sklepiku... żydowskim.

Więc każda z nas powinna uważać to sobie za święty obowiązek, by na drzewku znalazły się tylko i wyłącznie rzeczy, u nas w kraju wyrobione. Dyktuje to nietylko nasz własny, ogól ny interes społeczny, — dyktuje to i rozum i serce.

Niechże w te najmilsze, najuroczystsze święta krzepi nas świadomość, że kupując wyroby krajowe dałyśmy zarobek tysiącom polskich pracownic, przyczyniając się choć w drobnej mierze do ulżenia srożącej się nędzy. A wówczas na drzewko spoglądać będziemy niemniej radosnym i pogodnym wzrokiem, niż nasze dzieciaki.

(NINA)



Twarzowy i praktyczny kostjum narciarski widzimy na środkowej rycinie po lewej stronie. Składa się on z długich i szerokich spodni i obcisłej bluzy pozbawionej kołnierza, dzięki czemu można całość ożywić barwnym szalikiem. Równie korzystnie wyglądają osobne, nie należące do garnituru spodnie narciarskie, uzupełnia je bowiem doskonale pullover na modłę norweską i czapeczka „mefistówka“, jak na rysunku obok. Krótsze spodnie, t. zw. „pumpy“ przydatne i w lecie podczas górskich wycieczek, stanowią ładną całość w połączeniu z obcisłym żakiecikiem z paskiem. Dla bardzo szczupłych młodych panienek odpowiednie są spodnie na szelkach z niskim gorsecikiem (rys. na lewo). Wkłada się je na gruby, ciepły pullover. Obok kamizelka bez rękawów, którą nosi się na pullo-verze. Grzeje doskonale i jest bardzo szykowna, w charakterze czysto sportowym.

O myciu okien

Mycie okien wchodzi zawsze w repertuar przedświątecznych porządków. — Jeżeli jednak chcemy, aby szyby okienne były nietylko czyste, ale odzyskały swój świeży wygląd i połysk, wówczas trzeba zrezygnować z ich mycia zapomocą ciepłej wody i ściereczki.

Czyści się szyby w następujący sposób: Kawałek mydła do prania krajemy drobno i rozpuszczamy w odpowiedniej ilości gorącej wody. Dodajemy do tego parę łyżek amoniaku oraz kredę nieoczyszczoną w takiej ilości, aby utworzyła się dość gęsta papka, którą trzeba dobrze wymieszać.

Papką tą pociera się szyby, a następnie czystą miękką ściereczką wyciera się je do suchości.

Tensam proceder można też stosować przy czyszczeniu luster, z doskonałym wynikiem.

Poradnik dla gospoси

TORT WINOGRONOWY

7 deka masła, 7 deka mąki, 5 deka cukru, 1 małe jajo, przetarte przez sito ugotowane na twardo żółtko, wyrabia się na ciasto. Odłożyć na godzinę, poczem wylepić ciastem tortownicę i piec. Wyjąć z piecyka na pół surowy placek, wystudzić (inaczej będzie zakalec), włożyć na ciasto pianę twardą z 4 białek, wymieszaną z 14 deka cukru i 14 deka grubo siekanych obieranych migdałów. Ułożyć na pianie gęsto zielone winogrona i piec tort na jasny kolor.

BISZKOPTOWA BABKA

Proporcja na wielką babke. 25 deka cukru, 25 deka masła, 50 deka mąki, 8 żółtek, piana z 8 białek 1/4 litra dobrego mleka, paczka proszku do pieczenia, 5 d. rodzynek, 5 d. krajanych migdałów. Uciera się doskonale masło z połową cukru i dodaje powoli po jednem żółtku: dodać mąkę wymieszaną z rodzynkami i mlekiem, nakoniec zmieszać ostrożnie sztywną z proszkiem i resztą cukru wymieszaną pianę. Wysmarować formę masłem, wysypać obranemi pokrajanemi migdałami i piec powoli na wolnym ogniu. Tę samą babkę bez migdałów można lukrować czekoladą.

SAŁATKA Z KARTOFLI I ŚLEDZI

Dwa śledzie wymoczyć przez kilkanaście godzin, zmieniając często wodę, poczem oczyścić je starannie, rozpłatać, wyjąć ość grzbietową i pokrajać w kostkę. Ugotować w łupinie osiem dużych kartofli, ostudzić je, obrać i pokrajać w kostkę. Obrać i pokrajać w kostkę jeden duży kiszony ogórek. Wszystko to razem wymieszać, popieprzyć nieco, zaprawić winnym octem i oliwą, ułożyć na salaterce i podać jako dodatek do mięsa, lub też jako przekąskę.

ZRAZIKI Z ZAJĄCA Z GRZYBAMI.

Wziąć dwa uda zajęcze, upieczone i ostudzone. Wyjąć kości, mięso pokrajać na plasterki, włożyć do rondla na gorące masło, z 8 lub 10 pieczarkami, lub borowikami, siekana pietruszka i małą cebulką. Osypać łyżeczką maki do smaku osolić, popieprzyć i zalać pół szklanki białego wina. Dusić na wolnym ogniu. Na wydaniu wcisnąć sok z jednej cytryny. Wyłożyć na salaterkę i obłożyć grzankami, zasmażonemi na maśle.

—o—

Odgłosy Lwowa

Jak przed paroma laty dwutysięczna rocznica urodzin P. Wirgiljusza Marona, tak i na rok bieżący przypadająca również dwutysięczna rocznica narodzin Q. Horacego, odbiła się głośnem echem w polskich sferach wykształconych; najpiękniejszym tego wyrazem jest wydana przez krakowską Akademję Umiejętności księga ku czci Horacego. Zresztą to *zamiłowanie do łacinskiej kultury* datuje się w Polsce nie od dziś, jako, że z niej wzięła swój początek i nasza tworząca dziś tak odrębną i swoistą całość. Mickiewicz świetnie wyraził stosunek, jaki łączył panów - braci szlachtę z czołowym przedstawicielem literatury rzymskiej, nazywając Wirgiljusza *„naszym przyjacielem Maronem”*.

A i tego nie można zapomnieć że największy polsko - łaciński poeta Maciej Sarbiewski zwany był *„polskim Horacym”*. Kultura nasza stale ciążyła ku klasycznemu zachodowi i sami chętnie podkreślamy nasze z nim związki.

Przeto zorganizowany w lwowskiej rozgłośni *„Wieczór poetów klasycznych”* uważać można za takie właśnie podkreślenie i to podkreślenie niezmiernie dla naszego miasta chlubne, świadczące bowiem, że ma ono sporą ilość poetów i literatów hołdujących Muzie starożytnego Rzymu. Hołd ten przejawił się już to w formie przedmowy, już to oryginalnego wiersza, czy też *najpiękniej* pod postacią przekładów. Przekłady te, mimo dość dużej rozpiętości skali artystycznej swej wartości, naogół dawały wysokie pojęcie o kunszcie literackim ich autorów; najżywiej i najbardziej artystycznie brzmiało dla uszu słuchaczy tłumaczenie dokonane przez Annę Ludwikę Czerny, wygłoszone znakomicie i bardzo plastycznie. Natomiast rozlewne, miękie, bezwyrazowe deklamowanie wiersza Owidjusza, przygasiło nie tylko piękno przekładu, ale i oryginału. Można to jednak uważać za drobnostkę, zważywszy iż poza tem cały „Wieczór” był przygotowany nad wyraz starannie i troskliwie. Dobrze się stało, iż choć w taki sposób uczczono rocznicę Horacjańską; świadczy to że lwowska rozgłośnia jak zwykle *wyczuwa tętno życia* dzisiejszego.

* * *

Dominujące stanowisko jakie zajmuje obecny papież Pius XI-ty nietylko z racji swej godności, lecz również jako jednostka o *nieprzeciętnej indywidualności*, zaznacza się również i w dziedzinie popierania twórczości artystycznej, czego jednym z przejawów było stworzenie nowej Pinakoteki Watykańskiej. Stosunek zaś ideowy do zagadnień twórczości artystycznej, sformułował Ojciec Święty w słowach doskonale — jakkolwiek zwięźle — ujmujących ten problem. Artysta nie może zrywać ani z wartościami estetycznemi i etycznemi, ani też z tradycją czy ciągłością własnej kultury. Myśli te, będące osnową przemówienia papieskiego, podkreślił również pełne uznanie dla prawdziwie twórczych i nowoodkrywanych możliwości artystycznych, z drugiej jednak strony kategorycznie przeciwstawiają się wszelkim „nowinkom”, poniżającym godność ludzką, czy też którykolwiek z walorów naszej łacińskiej kultury. O tem opowiedział słuchaczom w *pięknie opracowanej i wygłoszonej* pogadance pt. „Ojciec Święty papież Pius XI-ty. o sztuce” prof. Stanisław *Machniewicz*.

Bardzo ciekawą, choć uważam, że zbyt optymistycznie nastrojoną pogadankę o *„Mobilizacji lwowian w Warszawie”* wygłosił prof. U. J. K. dr. St. *Łempicki*. I my rodowici z krwi i kości lwowianie, chętnie patrzyliśmy w przyszłość przez tak różowe szkiełka jak prelegent, cóż kiedy fakty, przykre fakty mówią same za siebie. I warszawskie „Koło przyjaciół Lwowa” poza urządzaniem miłych — dla bezpośrednio zainteresowanych członków — zebrań, zdaje się nie będzie miało zbyt wielkiego wpływu na bieg zdarzeń.

Kiepski tytuł dał swej pogadance Wilhelm Raort. Nazwał ją *„Krótko a dobrze”*, tymczasem mówił długo i — źle. Można prawić rzeczy stare i powszechnie wiadome, ale wtedy trzeba je misternie przyozdobić i dla zachęcenia słuchaczy przedstawić w innem, oryginalnem świetle. Pominąwszy już to, że prelegent wybrał sobie nieszczególnie wdzięczny temat, to wszakże i opracowanie jego do najlepszych nie należało, choć prawdopodobnie gdyby pogadanka ta była *lepiej odczytana*, zysk byłby obopólny: i autora i słuchaczy. Nieumiejętne (radjofonicznie) czy może niestaranne wygłoszenie tekstu, rozpraszało uwagę, obniżając wartość feljetonu.

Dla dzieci nadał Lwów ładne słuchowisko K. Sobańskiej pt. *„O szewczykowej duszyczce”*. Fantastyczne, senne przygody szewczyka Połatajki były świetnym tematem do audycji dla dzieci, tembardziej, że właściwego znaczenia nabierały one dopiero w zestawieniu z rzeczywistością. Trzeba przyznać, że połączenie sennych przeżyć ze zdarzeniami z życia w tem słuchowisku dokonane było bardzo umiejętnie i dobrze. — Druga — równie udatna — audycja dla dzieci, to opowiadanie Jerzego *Zatora o „Szkole piesków”*. Oryginalny i niezawodnie interesujący dzieci temat, autor opracował w sposób ogromnie miły i bezpośredni, tak, że z przyjemnością i starsi słuchali tej audycji.

„Proszę — jak u siebie w domu” zapraszał pan Stroń, obchodzący srebrne wesele w ramach ostatniej „Wesołej Fali”. Ubawiliśmy się też doskonale, czując się istotnie jak u siebie w domu wśród niezastąpionych lwowskich wesołofalowców. — Zanotuję jeszcze wznowienie, udatnej wesołej audycji „Towarzystwo śpiewacze — I owszem” z udziałem chóru Lipczyńskiego i solistów.

Słuchowisko M. Freudmanna pt. *„Houtonsville” wzywa pomocy”* zawierało sporo momentów dramatycznych, wywołujących właściwe wrażenie u słuchaczy. Jednak zaznaczyć muszę, że konstrukcja całości nie stwarzała potęgującego się napięcia, kończącego się albo akordem grozy, albo westchnieniem ulgi, jakby z sensu treści wypływało. Słyszeliśmy raczej fragmenty o typie reportażowym, ujęte w niezbyt starannie pod względem artystycznym opracowane sceny, mające ilustrować realizm życia codziennego. Treścią słuchowiska była tragicznie zakończona wyprawa amerykańskiego Polaka, wiozącego na swym samolocie lekarza i zapas serum do odległego miasteczka, w którem szaleje dyfteryt. Obaj giną, dzieci zdrowieją *bez* zbawczego serum czyli poświęcenie życia paru dzielnych ludzi nie przydało się na nic; dodam, że to już trzeci samolot zginął w burzy śnieżnej, a słuchowisko kończy się depeszą, donoszącą iż *„burza trwa*, szef lotniska sam pilotuje *następny* samolot udający się do Houtonsville”.

Słuchowisko to nadał Powszechny Teatr Wyobraźni ze Lwowa; artyści biorący w niem udział, grali zupełnie poprawnie.

IRENA NAŁĘCZ.

Głosy kobiet w Radjo

Ilekroć zjawia się przed mikrofonem Wanda Wojtowicz-Grabińska, oczekuję zawsze jej słów z jednakowem zaciekawieniem. Pierwsza w Polsce kobieta-sędzia prowadziła przez kilka lat sądy dla nieletnich w Warszawie, a obecnie pracuje w Ministerstwie Opieki Społecznej. Może nikt tak jak ona nie przejrzał do dna niedoli dzieci ulicy, dzieci przestępczych, nad wiek dojrzałych małoletnich zarobkujących, zniszczonych fizycznie i moralnie. Bez czułostkowości badała sprawy małych przestępców, rozsądzając je rozumem i sercem. I zawsze dochodziła do tego, że nie dziecko jest winne, — ale środowisko, które je wysyłało na ulicę, każąc mu żebrać, oszukiwać, kłamać i kraść. Pogadanka jej: „W drodze do własnego domu” wprowadza nas w świat piskląt bez gniazda, utraconego przez każde z nich w inny sposób. Jednym rozbiła dom eksmisja — inne porzuciła matka na ulicy — a jeszcze innych ojciec poszedł na „rajzę” po chleb dla rodziny, rzeczy zostały sprzedane, matka poszła do pracy. Bezdomne te maleństwa gromadzi „Pogotowie Opiekuńcze dla dzieci”, usiłując im zastąpić dom rodzinny. Wśród zabaw dziecięcych największem uznaniem cieszy się — budowanie domu. Już pięcioletnie dzieciaki ustawiają z mozołem domki z patyczków, zapewniają z dziwną powagą: to będzie domek — mój domek. — A dla starszych powstało: „Ognisko dla młodzieży bezdomnej”. Niby zwykły dom, ten blok czteropiętrowy, ale rzeczy, które się tam dzieją, zupełnie nie są zwykłe. Przychodzą tu na noclegi chłopcy w wieku od lat 15—21. Miejsca jest na 140, — a choć zawsze pełno, panuje tam ład i porządek. Po wpisach i badaniu, dostają mydło, ręczniki, kąpiel, pyżamy i czyste łóżka. Są dożywiani. W świetlicy mają radjo, wykłady, książki, gry i zabawy. Chłopcy rekrutują się z pupilów Opieki Społecznej lub odepchniętych przez dom rodzinny, a „Ognisko” staje się jedyną ucieczka przed upadkiem i stoczeniem się na dno.

„Czy teatr wychowuje”. Rozwiązaniem tego zagadnienia zajęła się w swej pogadance Janina Strzelecka. — Zdaniem jej, teatr pojęty nie jako rozrywka i zabicie czasu, ale jako sposobność poznawania człowieka — taki teatr staje się szkołą życia, akademją wychowawczą. To też starożytni doceniając należycie tę rolę teatru opodatkowywali bogatych, ażeby najbiedniejsi mogli bezpłatnie korzystać z przedstawień. Nie bali się oswajać człowieka z tragedją, która, zdaniem Arystotelesa, hartuje i uczy znosić po męsku wszelkie przeciwności losu. Rodzice powinni zrozumieć to wychowawcze znaczenie teatru, z którego desek przenikają do opornych dusz młodzieży te prawdy i wartości, jakich im przyswoić nie zdołają żadne pouczania i upomnienia.

Reportaż Stanisławy Gorzyńskiej z osady Sanniki: „Kooperatystki przy pracy” dał obraz żmudnego, iście mrówczego zarobkowania Sanniczanek, skupionych około Spółdzielni Pracy. Sanniki, niegdyś bogata, przemysłowa osada, doprowadzona do nędzy podczas wojny przez Niemców, którzy zrujnowali cukrownię, a maszyny wywieźli, — istnieje teraz tylko dzięki zapobiegliwości kobiet. Wyzyskawszy modę na filety, przez 9 lat pracowały od świtu do jedenastej w nocy, a bezrobotni mężowie wykonywali roboty domowe i nadzór nad dziećmi. W roku 1934 została Spółdzielnia korzystnie zreorganizowana z inicjatywy Kół warszawskich na zasadach spółdzielczości. Obecnie prócz celów zarobkowych, kwitnie tam praca oświatowa. Na zebrania, wykłady i dyskusje schodzą się stare i młode filećiarki, małorolne, robociarki. Interesuje je wszystko, co się dzieje na szerokim świecie, — polityka, zagadnienia gospodarcze, wynalazki. Utyskiwań na ciężkie czasy nie słychać. Imponuje ich powaga i godność osobista. I tak na każdym prawie kroku wypada podkreślać niezwykłą dzielność kobiet wszystkich warstw społecznych, które w najtrudniejszych warunkach potrafią zachować pogodę ducha i ratować dom rodzinny przed upadkiem.

Przeciętna kobieta mało wie o istnieniu i działalności „Polskiej Policji Kobiecej”, która w tym roku obchodzi dziesięciolecie swej pracy, o czem mówiła Halina Siemieńska. Kobiety weszły w skład Policji na równych prawach z kolegami-mężczyznami. Intelektualny ich poziom jest wyższy — a nie rzadko studja uniwersyteckie. Powierzono im walkę z nierządem, sutenerstwem, handlem żywym towarem i zdano opiekę nad nieletnimi uprawiającymi nierząd, żebraninę, włóczęgostwo, kradzież. Zamiast, jak dotychczas, do Komisarjatów Policyjnych — odprowadzane są dzieci do „Izb Zatrzymań”, gdzie spędzają areszt prewencyjny pod troskliwą i kulturalną opieką. Następnie skierowuje się je do Sądów dla nieletnich lub do zakładów wychowawczych, a czasem oddaje rodzicom, albo opiekunom społecznym. Powoli ustala się w Policji Państwowej przekonanie, że walka z nierządem oraz z przestępczością nieletnich nie dałaby się przeprowadzić bez współudziału policji kobiecej.

Walentyna Nagórska w pełnem sentymentu wspomnieniu przedstawiła trudności, z jakiemi zwycięsko zmagała się pierwsza w Polsce praktykująca lekarka: Anna Tomaszewicz-Dobrska. Ciekawa, jako kobieta — wzorowa jako matka, żona i pani domu — potrafiła podołać wszystkim tym obowiązkom obok intensywnej pracy naukowej i praktyki prywatnej, która zjednała jej głębokie uznanie chorych i społeczeństwa.

K. SOBAŃSKA.

Radjo przyjacielem człowieka

Mówić o ogromnem znaczeniu radjofonji w dzisiejszem życiu społecznem, gospodarczem i politycznem narodów, — byłoby to noszeniem sów do Aten. Każdy dzień prawie przynosi nowe dowody, świadczące, jak głęboko zrosło się radjo ze społeczeństwem, bijąc zwycięsko i bezapelacyjnie wszelką konkurencję telefonu, telegrafu i prasy.

Leży to już w samej istocie tego nieocenionego wynalazku, dzięki któremu z szybkością błyskawicy, z szybkością myśli niemal, dosięgają wszystkie doniośliejsze wypadki i zdarzenia do wiadomości słuchacza w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej.

Jedyny to, zdaje się wynalazek, który może być wyzyskany tylko i wyłącznie na dobro i korzyść, — nigdy na szkodę — ludzkości.

Coraz częstsze też są wypadki, że dzięki radjofonji uratowane zostało życie ludzkie, w warunkach, w których wszelkie inne środki musiałyby zawieść Dwa podobne wypadki mamy świeżo do zanotowania.

Oto niedawno temu w Sztokholmie zgłosiła się w aptece jakaś pani, żądając sprzedania jej sacharyny. Fatalność chciała, że roztargniony czy przemęczony aptekarz sięgnął do innej szafki i zamiast żądanej sacharyny wydał silny środek trujący. Pomyłkę zauważył w kilka minut po odejściu klientki. Ale gdzież jej szukać? Gdzie mieszka, jak się nazywa?

Nie namyślając się wiele, połączył się telefonicznie z radjostacją w Sztokholmie, przedstawiając całą sprawę i prosząc o odpowiedni komunikat ostrzegawczy.

Tak się też stało: radjostacja nadała bezwłocznie krótki komunikat, dzięki któremu zainteresowana osoba dowiedziała się wporę o tragicznej omyłce i mogła uniknąć niechybnej, grożącej jej śmierci.

Przed paru dniami znów radjosłuchacze austrjaccy zdziwili się niemało, kiedy koło godz. 6-tej wieczór przerwano nagle nadawany ze studja koncert. W głośnikach rozległ się głos speakera wiedeńskiego. Zawiadomił on nieznaną z nazwiska panią, że przy ekspedycji lekarstwa, które zakupiła przed chwilą w takiej to aptece zaszła pomyłka: Aptekarz — zamiast przepisanego przez lekarza obojętnego środka wydał jej kofeinę. Pani ta proszona jest zatem o pofatygowanie się do wiadomej apteki i zwrócenie wydanego jej leku.

Komunikat ten usłyszał mąż zainteresowanej osoby, siedząc przy swoim głośniku. Kiedy, po kilkunastu minutach, wróciła z apteki jego żona, — opowiedział jej ten incydent. Wyjaśniło się odrazu, że w danym wypadku o nią właśnie chodziło i sprawa cała została szybko w sposób właściwy załatwiona.